

1460-

K-82/89

R3103

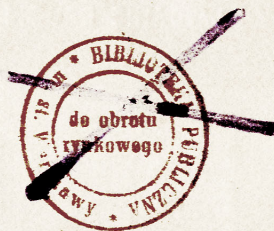


Hd



M7808

V



OD WYDAWCÓW „PAMIĘTNIKA KRESOWEGO”

Wydając w świat pracę ś. p. Wilhelma Kulikowskiego: „Śmierć Żółkiewskiego”, wydawcy odstąpili od pierwotnego planu, ujętego w „Prospekcie” wydawnictwa. Uczynili to dla powodów bardzo istotnych.

Kiedy przed laty trzema wydawaliśmy Prospekt, Wilhelm Kulikowski żył jeszcze i przyjmował czynny udział w pracy nad przygotowaniem materiałów do „Pamiętnika Kresowego”. Zmarł w dniu 9 sierpnia 1935 roku. Myśl jego i jego praca pozostawiła ślad głęboki na kształtowaniu myśli kresowej w ciągu ostatnich lat dwudziestu (od 1900 — 1920 roku). Pisząc o dziejach pracy na Kresach, nie sposób pominąć postaci tego „Rycerza Kresowego”.

Spuścizna drukowana po nim sprowadzała się właściwie do tej jednej pracy o wielkim Hetmanie, pracy jedynej, w której dał wyraz swym poglądom na stosunek do życia i zagadnień bytu narodowego.

Postać wielkiego Hetmana stanowi tak piękną kartę polskiej przeszłości kresowej, że pisząc o Kresach, tą postać na czele dziejów kresowych postawić należy.

Dlatego też postanowiliśmy wydać ponownie pracę Kulikowskiego po latach trzydziestu, jako wzór służby kresowej, jako wyraz poglądów Człowieka, z którym razem pracowaliśmy, przechodząc zmienne koleje Straży Polskiej na tej najdalszej placówce polskiej na Wschodzie.



WILHELM KULIKOWSKI
(W. DROGOMIR)
1859 — 1935

WILHELM KULIKOWSKI (W. DROGOMIR)

Wilhelm Kulikowski urodził się w dniu 9 kwietnia 1859 roku na Ukrainie. Wieś rodzinna Kulikowskiego Pawelki położona o jakie sto kilometrów na południe od Kijowa, na szlaku kurhanów strażniczych, z których niegdyś podawano wieść o zbliżaniu od strony Czarnego Szlaku hord tatarskich.

Cień tragedyi narodowej roku 1863 stał u kolebki jego dzieciństwa. Dwaj bracia jego matki Teresy z Opockich opuścili, wieś rodzinną Kalinówkę pod Zytomierzem — jeden bezpośrednio w czasie powstania, drugi zaraz po powstaniu jako uczestnik spisku na Murawiewa. Jeden z nich zapłacił życiem za swój czyn, drugi po długim pobycie w katordze na całe życie oderwany został od kraju i dokonał żywota na Syberyj¹⁾.

¹⁾ Teodor Opocki, ukończył wydział prawny Uniwersytetu Kijowskiego w chwili wybuchu Powstania Styczniowego na Rusi. Przyjął udział w walkach z rosyjanami. Ranny i wzięty do niewoli, stawiony przed sąd polowy w Kijowie w ostatniem słowie odezwał się o carze i jego siepaczach z taką młodzieńczą furią, że został niezwłocznie skazany na śmierć. Przekupiony grubą łapówką przez rodziców skazańca sekretarz sądu dłuższy czas odkładał wykonanie wyroku, aż udało mu się wybrać odpowiedni moment dla złagodzenia kary na dożywotnią katorgę.

Zesłany na Syberję odbył dwanaście lat ciężkich robót, nie załamał się przez te lata ani duchowo ani fizycznie.

To były pierwsze wrażenia dziecinne Kulikowskiego. Oddany do szkół w Kijowie, ukończył Drugie Gimnazjum, Klasyczne, poczem wstąpił na Wydział Prawny Uniwersytetu Kijowskiego.

Jako student prawa należał do tak zwanej „Korporacji”, tajnej organizacji studentów polaków, istniejącej w odmiennej postaci jeszcze przed powstaniem. Po ukończeniu prawa Kulikowski odbywa powinność wojskową w artylerii, poczem wyjeżdża do Krakowa, dokąd pociągają go studia nad dziejami ojczystymi. Wszakże po kilkumiesięcznym pobycie, na życzenie ojca powraca na Ukrainę i w Kijowie zapisuje się do adwokatury.

Jakie przeżywał uczucia w owym okresie, bezpośrednio po złamanem powstaniu, kiedy polacy żyli na Rusi pod grozą samowoli wojskowej i policyjnej, pod naciskiem wyjątkowych praw. Ślad jego myśli i uczuć pozostał w jego spóściźnie literackiej. Niechętnie wspominał o niej za czasów dojrzałych. Stawał tak wysokie wymagania od twórczości poetyckiej, że i własne utwory uważał za grzechy młodości. To też pozostały one w rękopisie i nigdy nie ukazały się w

W roku 1880 uzyskał możność przyjazdu na krótko do Warszawy. Przyjrawszy się stosunkom w Królestwie, doszedł do wniosku, że nie wytrzymał by długo w tej atmosferze i postanowił wrócić na Syberję.

Tu w latach dziewięćdziesiątych zdołał uzyskać przywrócenie praw cywilnych. Jako prawnik mianowany sędzią przez dłuższy czas sprawował swój urząd, otoczony powszechnym szacunkiem.

Wychował córki na dobre polki, sam zmarł na Syberji na parę lat przed wojną.

Witalis Opocki, brat rodzony Teodora, ukończył Instytut Dróg i Komunikacji w Petersburgu w czasie Powstania Styczniowego. Jako skończony inżynier przyjął udział w spisku na Murawiewa, kata Litwy. Na niego padł los: doręczono mu bombę i kazano jechać do Wilna. W drodze wyszło na jaw, że spisek jest wykryty i że trzeba się ratować ucieczką. Skierował się na Ukrainę do majątku rodziców. Tu włościanie w czas uprzedzili ojca, że policja czeka na szosie. Zawrócił w ostatniej chwili do Kijowa, gdzie krył się przez lat dwa

druku, chociaż niektóre z nich świadczą o głębszej myśli i doskonałem opanowaniu formy. Ten kresowiec już od lat najmłodszych posiadał mowę polską w słowie i piśmie w sposób tak wytworny, jak by nigdy nie opuszczał rdzennej Polski. Wpłynęła na to muzykalność Kulikowskiego, która chwytala w lot wszystkie najbardziej subtelne dźwięki mowy ojczystej i rozczytywanie się w klasycznej polszczyźnie.

W tych wierszach znalazło swój wyraz ogólne przygnębienie społeczeństwa polskiego na Kresach:

Ciężko walczyć bez nadziei
I nie widzieć nic prócz nocy
I nie doznać od nikogo
Ni ratunku ni pomocy.
Jeszcze ciężiej stać bez walki
I wyglądać swego końca,
Ciągle dzisiaj mieć bez jutra,
Bez nadziei wschodu słońca.
Lecz najciężej śmierć swą przeżyć,
Żyć od rana do wieczora,
Bez nadziei i bez jutra,
Bez wspomnienia i bez wczora.

pod fałszywymi dokumentami przed okiem policyi. Kiedy spostrzegł, że już są na jego tropie, uciekł do Odesy i stąd na statku francuskim przewieziony do Konstantynopola. Po długich poszukiwaniach pracy, z początku jako stroiciel fortepianów, potem jako nauczyciel domowy, dał się wreszcie poznać jako inżynier, zbudował w Turcji kilka większych mostów i zdobył sobie poważne stanowisko w społeczeństwie tureckim. Na przyjęciu dyplomatycznym poznał słynnego dyplomata hr. Ignatjewa, ówczesnego ambasadora Rosji przy Porcie. W rozmowie hr. Ignatjew namówił go na powrót, zapewniając słowem honoru, że sam się wstawi przed carem i zapewni mu wolność. Zawierzywszy zapewnieniom hr. Ignatjewa, powrócił do kraju. Jednakowoż wpływy hr. Ignatjewa już straciły swą moc. Opockiego aresztowano zaraz po przebyciu granicy i osadzono w więzieniu w Permi w podziemiach bez powietrza i światła. Tu nabawił się wkrótce suchot galopujących. Umierającemu pozwolono powrócić do Kalinówki, gdzie w parę tygodni zmarł z suchot. Było to w drugiej połowie roku 1877.

Skąd ze tyle goryczy w wieku młodzieńczym, zwłaszcza u tego studenta, tryskającego zdrowiem i tężyzną kresową? Skąd tyle goryczy z pod pióra człowieka, który pochłaniał wiedzę czyto na prawie, czy w swych studiach historycznych?

Źródło było jedno: los Narodu zatruwał mu wszystkie chwile. Poczucie własnej niemocy, upokarzające poczucie niewoli:

Nie zdołam, sił żywych mi brak
Do ciąglej ze światem gonitwy,
Nie zdołam nikogo powołać do bitwy,
Ni boju błyszczący nieść znak.
Mym myślom skrzydlatym brak słów,
Mym słowom brak dźwięków gromowych
I karłów uśpionych, bezmyślnych, niezdrowych,
Nie zdołam zamienić na lwów.

Ale zdrowa natura kresowa buntuje się przeciwko bezpłodnemu smutkowi.

Rozpaczy precz z serc naszych, precz,
Niech burzy szał, niech losu grom,
Niech grozi nam szatana miecz,
Dostójmy im. Ni kroku wstecz,
Rozpaczy precz, nie wolno łzom,
Nie wolno dawać folgę snom.

Aż wreszcie opanowuje swój smutek wysiłkiem woli.

Wtedy gdy smutno — ty się śmiejesz;
Bóle doczesne za nic miej.
Nie chowaj śmiech na lepsze dnie,
Bo lotem ptaka żywot mknie;
Gdy się nie będziesz w biedzie śmiał,
Po grób twój smutek będzie trwał.

Ale niedługo trwały takie i tym podobne próby pióra. Zbyt wielkie miał od siebie wymagania, coraz więcej wkraczał na teren naszej przeszłości, coraz poważniejszy stawał się jego stosunek do rzeczywistości — aż wreszcie bierze rozbrat z „czarem wiosennych snów“. Zamyka okres młodzieńczych marzeń, zawie-

sza swą lutnię na ścianie. „Geniusz spokoju“ zaczyna kierować jego życiem męskim, — nie czas na rzewne sonety...

Odtąd nauka historii ojczystej pochłania go coraz bardziej. Gromadzi piękną bibliotekę, jedną z największych na Rusi. Każdą wolną chwilę spędza na studiach historycznych.

Praca jego obejmuje całość naszych dziejów, jednakowoż ze szczególnym zamięrowaniem studiuje okres piastowski. Przywiązanie do tej epoki pozostaje mu prawie do końca. W niej szuka wskazań dla naszej przyszłości. W niej widzi najwyższy wyraz polskiej racji stanu, największą tężyznę charakterów:

Studował również nasze dzieje porozbiorowe. Traktował z głęboką czią ofiarność jednostek, lecz gdzieindziej radził szukać wzorów do naśladowania. Jego zdrową harmonijną naturę raziły wybuchy nerwów i brak hartu. „Trzeba znać dzieje naszych Rozbiorów, ale uczyć się trzeba u Piastów“.

Dopiero w wieku późniejszym zainteresował się okresem elekcyjnym. Wówczas zaczął studia nad panowaniem Jana Kazimierza. Badał dzieje rokoszu Lubomirskiego. Doszedł do wniosku, że w naszej historyografii krzywdą się dzieje Janowi Kazimierzowi, że był to człowiek wielkiej miary, którego nie umieli ocenić ani współcześni ani potomni.

W swych studiach pierwszych lat dwie postacie pociągały go najbardziej: wielki Piast, twórca polskiej potęgi mocarstwowej oraz czcigodna postać rycerza chrześcijańskiego hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Z tego kultu zrodziła się w czasie znacznie późniejszym praca o bitwie pod Cecorą. Do pisania o Chrobrym zabierał się wielokrotnie, ale zawsze cofał się przed tem zadaniem, zrażony brakiem źródeł.

W latach dziewięćdziesiątych pociąga go żywszy ruch wśród młodzieży akademickiej. W końcu tego okresu zbliża się do niego młodzież, niezadowolona z kierunku socjalistycznego, panującego podówczas w Korporacji. Przy jego czynnym udziale powstaje w tym czasie w Kijowie pierwsze koło tajnej organizacji „Zetu“. Potem wraz z Maternickim i Stanisła-

wem Jezierskim wstępuje do „Ligi Narodowej“ i oddaje już do jej rozwiązania przyjmuje czynny udział we wszystkich jej pracach.

W latach 1901 — 1902 pracuje nad założeniem „Polonii“, konspiracyjnej organizacji akademickiej, która wyraźnie przeciwstawiła się hasłom socjalistycznym i otwarcie wystąpiła pod sztandarem narodowym i demokratycznym. Pomaga „Polonii“ w jej pierwszych krokach organizacyjnych, a potem już jako patron „Polonii“ nie przestaje opiekować się nią nie tylko na Ukrainie, lecz i później na terenie niepodległej Polski.

Około roku 1903 wśród szlachty na Rusi powstaje myśl utworzenia ogólnie - polskiej organizacji, obejmującej całą Ruś. Wśród inicjatorów tej organizacji, nazwanej po długich sporach „Zrzeszeniem“, jest szereg osób, bliskich Kulikowskiemu, między innymi hrabia Włodzimierz Grocholski, kolega i przyjaciel Kulikowskiego, Szczęsny Poniatowski, Stanisław Pfaffius, Jan Lipkowski, Mirosław Sawicki. Kulikowski jest czynny przez cały czas tworzenia tej organizacji. Jest jej członkiem w pierwszym okresie i potem, kiedy przekształciła się w Komitety Wyborcze do Dumy i Rady Państwa, nie przestaje być członkiem Komitetu Gubernialnego i Wydziału Wykonawczego.

W roku 1905 wraz z Włodzimierzem hr. Grocholskim pracuje nad projektem założenia pierwszego polskiego dziennika na Rusi, który ukazuje się w dniu 1 lutego 1906 roku w Kijowie pod nazwą „Dziennik Kijowski“. Jest członkiem pierwszego zespołu redakcyjnego tego pisma wraz z Włodzimierzem hrabią Grocholskim, Włodzimierzem Lewickim, Joachimem Bartoszewiczem i Stanisławem Zielińskim. Miał sobie powierzone czynności pierwszego administratora „Dziennika“, zaś jako członek Komitetu Redakcyjnego przyjmował udział w ustaleniach kierunku tego pierwszego na Rusi pisma polskiego.

Zadanie to nie było ani proste ani łatwe. Społeczeństwo polskie na Rusi miało przed sobą cały szereg zagadnień do rozstrzygnięcia: stosunek do Ma-

cierzy, czy iść za prądami i polityką Królestwa, czy też prowadzić własną politykę, dostosowaną do potrzeb krajowych?

Potentaci krajowi: Potoccy, Sanguszkowie, Sobańscy uważali, że trzeba prowadzić własną politykę, a nie iść w ogonie polityki Królestwa czy Koła Polskiego w Dumie. „Krajowcy“ byli na prawicy i na lewicy. Jedni chcieli prowadzić politykę ugodową wobec rządu, drudzy szukali porozumienia ze stronnictwami lewicy rosyjskiej, a przede wszystkim ze świeżo powstałym rosyjsko - żydowskim stronnictwem „Kadetów“. (Konstytucyjnych Demokratów). Jednocześnie na terenie rosyjskim padło hasło wywłaszczenia bez odszkodowania, hasło, godzące w stan posiadania żywiołu polskiego na Rusi. Społeczeństwo polskie rozbite po Powstaniu Styczniowym, nie posiadające od dłuższego czasu żadnej własnej organizacji, szarpane wpływami, idącymi z Warszawy, Lwowa i Petersburga, musiało wyrobić sobie własny pogląd, jednocząc większość polskiej ludności na Rusi.

Ciężar tych zagadnień programowych spadł przede wszystkim na barki Kulikowskiego. Jemu to wraz z Bartoszewiczem wypadło naraz bronić się przed hasłami rewolucyjnymi i przed ugodą, przed „krajowością“ różnych odcieni. A trzeba jeszcze powiedzieć, że „Dziennik“ istniał ze składek swych udziałowców i że wśród tych udziałowców byli i Józef Potocki i Roman Sanguszko i Władysław Branicki i Sobańscy.

Na szalę tych trudności rzucił Kulikowski całą swą wiedzę filozoficzną i historyczną. Z argumentacją jego ludzie mogli się nie zgodzić, mogli zarzucać jego artykułom zbyt teoretyczne ujęcie przedmiotu, lecz nikt nie mógł zaprzeczyć, że stoi poza niemi głęboka wiedza i czystość intencji politycznych.

Tem się tłumaczy, że szarpane sprzecznymi dążeniami swoich i obcych ugrupowań politycznych, społeczeństwo polskie na Rusi potrafiło oprzeć się dążeniom odśrodkowym i na łamach „Dziennika“ wytworzyć jakiś swoisty program, który potrafił jednoczyć to wszystko, co czuło i myślało narodowo. Zarzucano temu programowi, że jest „endecki“, że jest „klerykalny“, że jest „szowinistyczny“, że się nie li-

czy z realnymi warunkami, lecz program utrzymał się aż do pierwszego roku wojny i pomimo wewnętrznych trudności utrzymał się jako jedyny możliwy dla naszego społeczeństwa na Rusi.

Twórcą tego programu był obok Joachima Bartoszewicza Wilhelm Kulikowski.

Jakie pierwiastki składały się na ten program?

Przedewszystkiem uznanie etyki katolickiej jako podstawy programu i Kościoła jako ostoji naszego życia moralnego i politycznego.

Uznanie własności prywatnej jako podstawy życia gospodarczego było drugą cechą zasadniczą programu.

Łączył się z tem pełen czi stosunek do naszej przeszłości i poczucie odpowiedzialności za losy sprawy całego Narodu. Redakcja „Dziennika” nie przedstawiała się nigdy uważać za placówkę sprawy ogólnie - narodowej. Praca „Dziennika” miała być niczem innem jak dalszym ciągiem prac i walk Narodu dla jego przyszłości.

Nie dawało to jeszcze odpowiedzi na zagadnienia szczegółowe doby bieżącej, ale stwarzało grunt ideowy, ułatwiający sąd o rzeczywistości, stwarzało perspektywę dla słusznej oceny zagadnień doby bieżącej.

Przez lat osiem: od Lutego 1906 do wybuchu Wojny Światowej zasiliał Kulikowski jako „Drogo-mir” lub jako „W. K.”, zrzadka pod pełnem imieniem i nazwiskiem łamy „Dziennika”. Raz po raz wszczynał z nim spory ktoś z lewicy czy z prawicy. Argumentacja rozbijała się o wiedzę głęboką Kulikowskiego, o jego jasny stosunek do zagadnień podstawowych. Wielu było takich, których nie przekonał w tej polemice, ale każdy kończył spór z uczuciem mimowolnego szacunku dla wiedzy i dobrej woli autora.

Jeszcze większy urok wywierał Kulikowski na ludzi, którzy mieli sposobność zetknąć się z nim osobiście. Tu już działało nie tylko wykształcenie wszechstronne autora, lecz jego charakter. Synteza wiedzy i wiary promieniowała z tego człowieka urokiem harmonii wewnętrznej, której nie zdolne były zachwiać żadne zakusy najbardziej gryzą-

cej analizy. Kulikowski wiedział dobrze na podstawie gruntownych badań historycznych, co są warte różne próby stworzenia systemu poza danymi wiary. Wszelkie próby sceptyków kończyły się zwykle w dyskusyi sromotną porażką napastnika. Ale Kulikowski nie był zwycięzcą okrutnym i zwycięstwa swego nie zwykł nadużywać w sposób przykry dla pokonanego. Każdy, kto go znał, wiedział, że raczej dowie się czegoś nowego dla siebie, niż usłyszy coś przykrego.

To też do „kolegi Wilhelma” przychodzili nie tylko swoi bliscy ideowo. Przychodzili do niego na dyskusję ludzie zupełnie obcy, nieraz z obozów wrogich, a, jeśli nawet nie wychodzili przekonani, to zawsze rozstawali się z nim z uczuciem mimowolnego szacunku dla jego wiedzy i dla tej dziwnej harmonii nauki i wiary.

Człowiek ten formalnie pochłaniał dzieła historyczne, filozoficzne, dzieła z historii sztuki i religii. Nie było zresztą dziedziny wiedzy, której nie obejmował swoim zainteresowaniem.

A umiał czytać i wszystko, co przeczytał, układało się w jego umyśle w harmonijną całość.

Pracował ciągle nad sobą. Obok pracy nad stroną gospodarczą Dziennika, obok artykułów politycznych, społecznych, historycznych, miał zawsze czas na dalsze pomnażanie zasobów swej wiedzy. Ta gorączka zdobywania dalszej wiedzy stała na przeszkodzie jego twórczości pisarskiej. Kto inny na jego miejscu czuł by się powołanym do pozostawienia po sobie grubych tomów. Kulikowski ciągle szukał nowej wiedzy, ciągle zdawał sobie sprawę z tego, jak dalece nie pełny jest stan jego wiadomości. Dlatego nie pozostawił po sobie żadnej rzeczy większej. Był w ciąglem poszukiwaniu nowych źródeł.

Od czasu do czasu zajmował się jakimś zagadnieniem szczegółowem. Tak było w rocznicę Bitwy pod Grunwaldem. Napisał wówczas w Dzienniku studium o tej bitwie, prawdziwe arcydzieło stylu, gdzie zużytkował wszystkie instniejące źródła obce i rodzime.

Osoba Wielkiego Hetmana pociągała go od dawna. Zdecydował się wreszcie na opracowanie Cecory.

Nie tylko dlatego, że więcej miał źródeł, lecz i dlatego, że Hetman Żółkiewski bliższy nam był czasem, stąd łatwiej było autorowi odtworzyć jego postać własnym wyczuciem.

Pociągał go Żółkiewski swą wiarą i swym ofiarnym zgonem.

Ciągle jednak wahał się, opierał naleganiom przyjaciół, tłumacząc się brakiem źródeł. Wątpliwościom jego i wahaniom położył kres następujący wypadek.

Na początku roku 1907 Redakcja „Dziennika Kijowskiego” otrzymała list od inspektora Szkolnego rosyjskiego Ministerstwa Oświaty, niejakiego Piotra Butkiewicza. Donosił on Redakcji, że nad brzegiem Dniestru odkrył szczątki pomnika Hetmana Stanisława Żółkiewskiego, bohatera z pod Cecory. Po sprawdzeniu tej wieści przez Redakcję, okazało się, że istotnie starożytny pomnik hetmana, wystawiony staraniem wdowy po nim w pobliżu szosy, prowadzącej z Mohylowa do Kiszyniowa, o 9 kilometrów na zachód od Dniestru, pomiędzy wsiami Sawki i Aryamanty, leży w gruzach, niegdyś piękna kolumna z tablicą marmurową. Od roku 1626 przetrwała przez dwa i pół wieku, aż obaliła ją dłoń jakiegoś poszukiwacza skarbów wewnątrz kurhanu, na którym stał pomnik.

Otrzymałszy tę wiadomość, Redakcja „Dziennika Kijowskiego” postanowiła zająć się odnowieniem pomnika. Uzyskano po wielu przeszkodach pozwolenie na zbieranie składek i w ciągu paru miesięcy cała potrzebna suma została zebrana wśród ludności kresowej.

Podjęcie tej sprawy przez Redakcję przełamało niechęć Kulikowskiego do pisania i w ten sposób powstała „mała książeczka”, zrazu jako szereg odcinków Dziennika, potem jako osobna broszurka, prędko zapomniana, bo autor nigdy nie dbał o reklamę, a zaraz po jej wydaniu myślał przeważnie o tem, jakie posiada wady i niedociągnięcia.

W „Dzienniku Kijowskim” pracował Kulikowski do roku 1910. Choroba ojca zmusiła go do wyjazdu

na wieś do zajęcia się sprawami majątkowymi rodziny. Nie przestaje zasilac „Dziennika” swymi artykułami. Zjeżdża również na wszystkie posiedzenia Komitetu Redakcyjnego, Zarządu i na Walne Zgromadzenia udziałowców „Dziennika”. Nie zrywa nici organizacyjnych z kolegami. Na każde wezwanie w sprawie ważniejszej stawia się do Kijowa, zwłaszcza nie opuszcza zjazdów konspiracyjnych organizacji, kryjącej się pod nazwą „Zrzeszenie”, potem przekształconej na organizację wyborczą do Dumy i Rady Państwa w Petersburgu.

Na Zjazdach Komitetu niejednokrotnie powstawała kwestya dalszej polityki naszych Kresów. Zwłaszcza ze strony przedstawicieli Białorusi ponawiano raz po raz pytanie; z kim ma iść „Kraj Zabraný” w swej polityce wobec Rządu Petersburskiego; z kołem polskim, czy z „Kadetami”, czy ma prowadzić politykę samodzielną, „krajową”?

W tych wszystkich naradach głos Kulikowskiemu miał znaczenie decydujące i jemu to zawdzięcza Ruś, że Komitety Wyborcze nie szły ani na pasku „Krajowców” ani ugody.

W roku 1914 wybuch wojny zastał redakcję „Dziennika” w rozproszeniu. Ówczesny redaktor naczelny S. Zieliński znalazł się zagranicą, odcięty od kraju. Bartoszewicz nie mógł wyjechać z majątku na Wołyniu. Kulikowski bawił w Pawełkach. W redakcji pozostał Paszkowski i Wołoszynowski. Skutek zdekompletowania redakcji był ten, że „oryentacja” pisma uległa zmianie i dla dawnych członków redakcji już zabrakło w niej miejsca. Rola Kulikowskiego w „Dzienniku Kijowskim” była skończona.

Rok 1917 zastaje K. na wsi. Rozprzeżenie armii rosyjskiej, dzika demobilizacja spowodowały zniszczenie, — zanim jeszcze bolszewicy rozpoczęli swoją działalność planową. Trzeba było ratować ojcowiznę. Kulikowski wyprawia rodzinę do Kijowa i sam zostaje na posterunku. Trwa na nim przez cały prawie rok pod ciągłą groźbą, w ciągłej niepewności czy jeszcze przetrwa do rana. Oslaniają go jak mogą miejscowi włościanie. Ale fale zdziczenia wzbierają. Nie ma już sposobu opierać się wobec powszechnego za-

mętu. Na wsi już mają głos tylko najgorsze jednostki. Wszystko co było uczciwego, milczy bezsilnie, steryzowane.

W styczniu 1918 roku Kulikowski wyjeżdża do Kijowa, opuszcza Pawelki na zawsze.

Kijów w tym czasie wre i kipi gorączkową pracą społeczną. Ze wszystkich dzielnic Polski zjechali ludzie, organizacje, stronnictwa. Ludność polska Kijowa urosła w dwójnasób. Powstaje okres oświaty polskiej, tak szczegółowo opisany przez prof. Korneckiego. Kulikowski trafia w wir tej pracy i od razu staje do nowego warsztatu, najbardziej dla siebie bliskiego: do wykładów historii w szkołach polskich, świeżo utworzonych w Kijowie. W innym czasie znalazłaby się możliwość otworzenia tych wykładów, stenografowania i wydania skryptów. W tych czasach było to niemożliwe. Jedyny ślad pozostał w duszy młodzieży. Nie było ani czasu ani możliwości myśleć o utrwaleniu czegokolwiek, kiedy wszystko okazywało się nietrwałym, co trwało przez wieki, a jedynym pierwiastkiem, opierającym się zniszczeniu, był *duch*, żyjący do końca w pracy polskiej, oświatowej i politycznej.

W tym okresie spory na tle formowania armii polskiej na terenie Ukrainy i spory „oryentacyjne” dają się szczególnie we znaki obozowi narodowemu. Powstaje myśl założenia drugiego dziennika w Kijowie, bo „Dziennik Kijowski” nabierał coraz bardziej cech pisma aktywistycznego.

Wówczas to Józef Gliński z Ujścia ofiarowuje kupioną przezeń drukarnię przy ulicy Włodzimierskiej a grono inicjatorów, złożone z wytrawnego publicysty, jakim był bawiący wówczas w Kijowie Zygmunt Wasilewski, zakłada na początku roku 1918 drugi polski dziennik pod tytułem „Przegląd Polski”. W gronie redakcyjnym znalazł się wówczas i Kulikowski wraz z Bolesławem Biegą, Jerzym Bandrowskim, Zygmuntem Raczkowskim, generałem Romanem Jasińskim i Stanisławem Zielińskim.

Pierwszy numer tego pisma wyszedł 20 lutego 1918 roku.

Przetrwało ono okupację niemiecką, konfiskaty i

zawieszenia, przetrwało rządy „hetmańskie”, aż dopiero chaos bolszewicki uniemożliwił wszelką pracę.

Pismo to zawdzięcza Kulikowskiemu szereg artykułów politycznych o wysokim poziomie, i szerokim ujęciu tematu.

Wciągnięty w wir pracy politycznej, Kulikowski staje na posterunku, najbardziej już wówczas zagrożonym, Prezesa Komitetu Wykonawczego, organizacyi ogólnopolskiej i dlatego ściągającej na siebie największą furję władz bolszewickich.

Pierwszy prezes Komitetu Wykonawczego Joachim Bartoszewicz wyjechał do Paryża na początku 1918 roku, po nim objął kierownictwo Tomasz Michałowski, potem Jordan Pereświat-Sołtan, rozstrzelany w czerwcu 1919 roku. Po krótkich rządach Wincentego Chojckiego, Kulikowski obejmuje przewodnictwo w grudniu 1919 roku, kiedy już pociski bolszewickie eksplodowały na ulicach Kijowa, od strony przepraw przez Dniepr nie ustawało szczerkanie karabinów maszynowych, a rozprzężenie Armii Ochotniczej kazało oczekiwać nieuniknionej katastrofy.

W tej atmosferze objął przewodnictwo Komitetu Wykonawczego jako ostatni jego Prezes Wilhelm Kulikowski.

Po zajęciu Kijowa przez bandy bolszewickie w końcu grudnia 1919 r. Komitet już działa jako organizacja konspiracyjna. Jego prezes musi się ukrywać za dnia, gdzie indziej spędzać noc, byle unikać pościgu przezwycajki.

Tak przetrwał K. do chwili wkroczenia do Kijowa oddziałów Korpusu gen. Rydza - Śmigłego i ostatnim pociągiem wojskowym odjechał do kraju, kiedy już nic nie było do uratowania.

Druga połowa roku 1920 już go zastaje przy pracy w Polsce. Z ramienia Związku Ludowo-Narodowego objeżdża kraj z odczytami, historycznymi, politycznymi, pisze do prasy narodowej, wreszcie obejmuje redakcyę pisma codziennego we Włocławku a w roku 1922 w Lublinie redakcyę „Głosu Lubelskiego”.

W roku 1923 po objęciu rządów przez gabinet Wincentego Witosa Minister Seyda mianuje Kulikowskiego prezesem Delegacyi Repatryacyjnej w

Warszawie i na Kulikowskiego spada cały ciężar tak zwanej „wymiany personalnej“, to znaczy zabiegów o wydobyć z Rosji Sowieckiej tych wszystkich polaków, których los oddał na pastwę Czerwyczejki, a więc przede wszystkim księży, następnie naszych wojskowych, wreszcie ludzi, których całą winą było to, że nie przestali być polakami nawet pod władzą bolszewicką.

Na tem stanowisku wytrwał Kulikowski, aż do kwietnia 1935 roku. Czem był dla setek naszych rodaków, czekających po więzieniach sowieckich zmiłowania Bożego, z jaką ostrożnością przeprowadzał rokowania z bolszewikami, o tem wiedzą ci, którzy mu zawdzięczają wyrwanie z piekła bolszewickiego. W tej nad wyraz trudnej roli Kulikowski okazał nowe uzdolnienia, których nie podejrzewali w nim jego najbliżsi. W stosunkach z dyktatorami Kremlu i ich delegatami nowy prezes potrafił zachować zimną rezerwę, utrzymując cały dystans, dzielący potomka rycerzy kresowych od oprawców Lenina a jednocześnie czynił to w taki sposób, że nie utrudniał zadania i nie dawał pretekstu do szukania łatwego odwetu na bezbronnych rodakach. Od czasu do czasu umiał „zażyć z mańki“ swych partnerów bolszewickich i wówczas w prasie sowieckiej wybuchała wściekłość na „starego lisa“, ale Kulikowski śmiał się dobrodusznie, czytając te pretensje zawiedzionych w swych rachubach agentów Moskwy, a bolszewicy powracali znowu do rokowań z nim, zapominając o swych pretensjach.

Na tem stanowisku więcej niż kto inny zdawał sobie sprawę Kulikowski z tej sytuacji, w jakiej są nasi rodacy pod panowaniem Czerwyczejki. Niejednokrotnie gromadził te materiały i przedstawiał je komu należy. Robił to jednak w sposób tak dyskretny, ażeby stronie przeciwnej nie dać pretekstu do wytaczania nam pretensji o propagandę antysowiecką.

Takt polityczny Kulikowskiego sprawił, że bolszewicy nabrali respektu do naszego prezesa Repatricyi i niejednokrotnie dawali wyraz swym uczuciom, jakie w nich budził ten człowiek, świadomy swej wyższości, zawsze opanowany, zawsze równy, a nigdy nie

uchybiający głębokiemu poczuciu sprawiedliwości w obcowaniu ze wszystkimi i w każdej sprawie.

Jako urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych został zredukowany w kwietniu 1935 roku. W tym ostatnim okresie a zwłaszcza w okresie przymusowego oderwania od pracy, do której był przywiązany przez lat dwanaście, dużo zajmował się przyszłością naszej Ojczyzny. Największy nacisk kładł na moralne warunki jej bytu. Uważał, że Polska poradzi sobie z trudnościami natury materialnej, jeżeli nie zabraknie jej twórczej idei. Z niepokojem notował wszelkie objawy pustki ideowej, niezależnie od tego, gdzie ją spostrzegł.

Jednocześnie rozpoczął pracę nad historią rycerstwa. Miał już w gronie przyjaciół autoreferat o postępie swych prac, już przygotowywał do druku pierwszy rozdział.

Przyjmował żywy udział w pracy nad przygotowaniem materiałów do „Pamiętnika Kresowego“. Nadał formę ostateczną Prospektowi. Przeglądał nadsyłane materiały, poprawiał własnoręcznie. Układał projekty przyszłej pracy nad wydawnictwem stałym, peryodycznie dającą jakąś część historii pracy polskiej na Kresach.

Ale już było zapóźno. Trawiąca go choroba wzmożła się naraz i powaliła na łóżko niemocy. Do ostatniej chwili, choć fizycznie złamany trawiącym go rakiem żołądka nie przestawał pracować umysłowo. Ostatnią książkę, nad którą spędzał noce bezsenne w szpitalu, była Agatyna Gillera: Historia Powstania listopadowego.

Zmarł, jak żył: w zgodzie z samym sobą. W przeddzień ciężkiej operacji, kiedy już wiedział, że niema nadziei, zamknął się ze spowiednikiem i długo sprowadzał ostatni rachunek sumienia. Kiedy skończył, powiedział z uśmiechem: jestem już gotów do ostatniej podróży.

Zmarł w ciężkich męczarniach bezpośrednio po operacji w dniu 9 sierpnia 1935 roku w Warszawie.

Czem był ten człowiek dla swego najbliższego otoczenia, świadczy o tem najlepiej mowa, jaką nad jego

grobem wygłosił w dniu 13 sierpnia nestor pracy polskiej na Rusi, sędziwy prezes Józefat Andrzejowski.

„Byłeś dla nas źródłem wiary i wiedzy. Byłeś towarzyszem wiernym i czujnym. Byłeś przyjacielem wymagającym tylko od siebie. Łączyłeś wiarę szczerą i głęboką z wiedzą rozległą. Wierzyłeś w przyszłość Narodu, jako Narodu kierowanego zasadami etyki chrześcijańskiej. Ze swej głębokiej wiary i ze źródeł wiedzy naukowej zaczerpnąłeś przeświadczenie, że tylko na tej drodze Ojczyzna nasza przezwyciężyć potrafi piętrzące się dookoła Niej trudności.

Odszedłeś od nas, lecz zostawiłeś nam testament niezniszczalny. W Twojej pracy o bitwie pod Cecorą i Hetmanie Żółkiewskim ująłeś w przepięknej formie swoje pojęcie szlachectwa i swoje poczucie obowiązku narodowego.

Powiedziałeś wówczas, że „nie ten jest władcą ziemi, kto za nią złotem płaci, nie zjadacz chleba na tej ziemi władza, lecz ten, kto czyni z tej ziemi miejsce, na którym śmierć sama nowe stwarza życie”. To też nie uchylałeś się przed niebezpieczeństwem śmierci, tam, gdzie myślałeś, że zdolna ona jest stworzyć na tej ziemi źródła nowego życia i całem swoim życiem stworzyłeś dla nas pewność, że tam gdzie Ty, zacny i Drogi Przyjacielu, żyłeś i gdzie z tym rozstałeś się światem, tam powstanie wśród nas źródło nowego życia z Twojej myśli z Twojej wiedzy z Twojej woli i wiary.

Wierni testamentowi temu pójdziemy dalej tą samą drogą, którą z Tobą razem obraliśmy, którą Ty nam w ostatniej Twojej myśli o sprawach naszych wskazywałeś. Zostanie wśród nas nie tylko pamięć o Tobie, lecz Twoja myśl, Twoja wola.

Dokąd Ty doszedłeś za życia, odtąd my, wierni Twojej myśli, pójdziemy po rozstaniu z Twym grobem.”

Kulikowski nie pozostawił po sobie żadnego majątku. Wszystko, co odziedziczył po przodkach, cały dorobek pracy pokoleń, co na dalekiej Ukrainie budowały i broniły placówek polskiej pracy i polskiej cywilizacji, pochłonęła ruina bolszewicka. Ani sam Kulikowski ani jego najbliżsi nie mieli wpływów politycznych, o które ktokolwiek chciał by się ubiegać za życia lub po jego zgonie. To też wszystko, co na grób jego padło jako wyraz uznania, to są nie sztuczne, lecz naturalne kwiaty ludzkich myśli i szczerych uczuć.

- „Wierny Towarzysz Pracy Narodowej”,
- „Piękna Karta Polskiej Dyplomacji”,
- „Ostatni Rycerz Kresowy”...

Tak jest: rycerz kresowy, rycerz chrześcijański, jeden z długiego ordynku tych, co tam na dalekich Kresach Ukrainnych budowali i bronili, co za pługiem z szablą przy boku kroczyli, czujnie spoglądając ku południowi i wschodowi, czy nie dymią gdzie kurhany strażnicze, czy nie zwiastują zbliżania się Ordy tatarskiej czy pułków moskiewskich...

Nie przyszło mu z bronią w ręku bronić Rzeczypospolitej granic. Oddał potrzebom krajowym, oddał Ojczyźnie swe myśli, swą wolę i wiedzę.

Nie pozostały po nim wielotomowe dzieła. Jedyny znaczniejszy ślad jego myśli to mała książeczka o Hetmanie Żółkiewskim... Po raz pierwszy rzecz ta ukazała się w Październiku 1907 roku w formie odcinków „Dziennika Kijowskiego” pod tytułem: „Noc z 6 na 7 Października (23—24 Września) 1620 roku”, podpisana pseudonimem herbowym autora: „Drogomir”.

Osobną odbitką wyszła rzecz ta w roku następnym, nakładem „Drukarni Polskiej” w Kijowie (Proreza Nr. 9). Była to właśnie drukarnia spółki, wydającej „Dziennik Kijowski”.

Trzydzieści lat minęło od chwili ukazania się tych odcinków na łamach „Dziennika Kijowskiego”. Po latach trzydziestu mała ta książeczka jest równie pełna znaczenia jak w chwili swego wyjścia w Kijowie. Nie sam tylko sentyment do autora, lecz przeświadczenie o niepowszedniej, nieprzemijającej wartości tego utworu kierowały wydawcami, towarzyszami pracy śp. zmarłego, gdy postanowili przypomnieć czytającemu ogółowi polskiemu „Noc” Drogomira w nowej szacie, pod tytułem i z nazwiskiem, odpowiadającym istotnej treści i intencji autora.

Nie jest rzeczą zbędną ani bezużyteczną ukazać oczom pokoleń powojennych postać z pod Cecory, jaśniejącą po przez wieki a odczuta i odmalowaną przez jednego z wiernych i czujnych synów Ojczyzny, tam na dalekich krańcach Rzeczypospolitej broniących sprawę narodowej.



W tej współpracy spotkały się dwa duchy bratnie: jeden — krwią serdeczną, drugi — piórem i pracą całego życia świadczący tej niezmiennej a wielkiej prawdzie, że cnoty rycerskie, że poświęcenie bez granic dla sprawy narodowej żyją wiecznie, że strzegą granic, położonych gdzieś daleko poza granicami traktatowymi i temi, do których sięgać zdolna myśl współczesna. Strzegą tych granic kurhanami własnych ciał. Strzegą gliną i prochem, zroszonym krwią ofiarną.

Te dwa bratnie duchy kresowe składają raz jeszcze świadectwo i tej jeszcze wielkiej prawdzie naszych dziejów, że nic nie jest zdolne wydobyć z Narodu takich sił i poświęcenia jak przykład ofiary, jak odwołanie się do jego sumienia własnym ofiarnym czynem.

Stąd przeświadczenie o nieprzemijającej wartości tej małej książeczki, stąd decyzja wydania jej w świat, — „tegoż utrapienia nie koniec i nie koniec łaski Pana Boga świętej“.

Stanisław Zieliński.

Warszawa w Sierpniu 1937 roku.

WILHELM KULIKOWSKI
(W. DROGOMIR)

ŚMIERĆ ŻÓŁKIEWSKIEGO

NOC Z 6 NA 7 PAŹDZIERNIKA 1620 ROKU



WYDANIE DRUGIE

OD AUTORA

Książeczka niniejsza jest przedrukiem szeregu artykułów, umieszczonych w odcinku „Dziennika Kijowskiego” w październiku roku 1907. Autorowi chodziło o to, aby przypomnieć naszej publiczności sławną postać Żółkiewskiego i polecić staraniom ogółu wznowienie starożytnego pomnika nad Dniestrem, zwalonego obecnie w gruzy. Powyższy cel niezmienny, niech w oczach czytelnika będzie usprawiedliwieniem wyjścia w świat niniejszej książki.

Kijów w roku 1908.

ŚMIERĆ ŻÓŁKIEWSKIEGO

Noc z 6 na 7 Października 1620 roku.

I.

Noc ta jest jedną z najstraszniejszych w dziejach naszej Ojczyzny.

Było to wtedy, gdy, świetna, potężna napozór i olśniewająca, już się chyliła ku upadku najjaśniejsza Rzeczpospolita szlachecka.

Za króla Zygmunta III wspaniały gmach, dzieło minionych stuleci, stał napozór mocno. Ci tylko, którzy byli od nieba duchem proroczym natchnieni, przeczuwali wówczas, że potężne sklepienie niebawem zarysuje się groźnie, ci tylko jedni, nieliczni, sercem jasnowidzących i bez granic matce swej oddani synowie zabiegali o ratunek ojczystego gniazda. Budowla wieków niedostrzegalnie zaczynała się chwiać, miała później runąć, pozostawiając same jeno fundamenty odwieczne, niepożyte i niezmożone.

W takich chwilach przełomu i wżenia się losów Opatrzność przed narodem zbłąkanym stawia swych wybrańców, wzbudza proroków i bohaterów—dla przestrogi i dla przykładu.

Za króla Zygmunta był prorok natchniony, który z rozkazaniami Bożego niebaczynym przyszłość straszną wskazywał i wołał o miłość, o zgodę, o czyn, opamiętanie i pokutę.

I groził: „Nastąpi postronny nieprzyjaciół, jaw-

szy się za waszą niezgodę i mówić będzie: rozdzieliło się serce ich, teraz poginą... I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą... Bo wszyscy z domem i zdrowiem swoim w nieprzyjacielskiej ręce stękać będziecie, poddani tym, którzy was nienawidzą... Ziemie i księstwa wielkie, które się z koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą... Będziecie jako wdowa osierociąta, wy, coście drugie narody rządili i będziecie ku pośmiejchu i urąganiu nieprzyjaciołom waszym...”

„Język swój, w którym samym to królestwo, między wielkimi onemi słowiańskimi, wolne zostało i naród swój pogubicie i ostatki tego narodu, tak staro i po świecie szeroko rozkwitnionego, potracicie i w obcy naród, który was nienawidzi, obróćcie...”

„...Będziecie nie tylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwiej wazono, będą(*)”.

Dziś, z odległości trzech wieków, słowa te brzmią w uszach naszych, jak dźwięk trąby archanioła, bo my to jesteśmy właśnie ci „wygnańcy wszędzie nędzni”, którzy na sobie spełnione proroctwo czujemy. Wówczas prorokom, jak i dziś, nie wierzone, ale wybrani, którzy uwierzyli — stawali się bohaterami.

Co Skarga zdziałał dla narodu słowem, tego Żółkiewski dokonał czynem, on bowiem był tym bohaterem, który szedł w ślad za prorokiem, dając świadectwo prawdziwości słów jego, i kto wie, czy bez pierwszego istniałby drugi.

Na bohaterach nam nie zbywało. Wśród nich

*) Skarga. Kazania Sejmowe III.

byli wielcy duchem, umysłem, potęgą, byli „bogowie ziemscy”, którzy do wysokich celów szli z mocą i wiarą i byli tacy, którzy ponadto i siebie samych i krew swą kładli na ołtarzu poświęcenia i ofiary, którzy nie tylko życiem, ale i zgonem swym stwierdzali natchnione słowa proroków. Wśród tych może największym był ów wódz, wsławiony wiekopomnymi czyny, a który promienną śmiercią swą potrafił zaćmić blask nieśmiertelnego życia.

W noc z szóstego na siódмого października przypada rocznica tej najpiękniejszej śmierci bohatera, a za lat kilkanaście minie trzy wieki (autor pisał w roku 1908) od owej strasznej nocy. Wspomnijmy więc o nim, bo wszak wspominamy go tylko wtedy, kiedy, dziećmi będąc, przy boku matki, dziejów naszych początek poznajemy.

* * *

Życie mu dało wszystko, czego tylko od życia mógł żądać. Miał bogactwa uczciwie nabyte pracą swych praojców, miał szczęście na łonie rodziny, ożywionej jego duchem i jego myślą natchnionej, miał towarzyszkę życia, która dzieliła z nim dzieło jego doczesne i czy to zbliska, czy zdaleka była współniczką jego pracy i jego doli. Udziałem jego stały się dostojęstwa i urzędy w narodzie najwyższe, a nad to wszystko posiadał on sławę wielkich czynów, zwycięstw wiekopomnych i tak niezwykłych, że mogłyby należeć do dziedziny baśni czarodziejskich, gdyby nie należały do historii.

Miał umysł mędrca i duszę poety i gdy miecz składał do pochwy, to z pod polskiego pióra jego płynęły okresy godne rzymskich pisarzy, miał miłość ludzką i cześć powszechną, miał zawistych, którzy się go wstydzili i wrogów, którzy się go bali i mógł

być i był tak wielkim, że nie widział ani tych, ani tamtych... Był „bogiem ziemskim“, mógł na tem poprzestać nie tracąc ani jednego listka z laurowego wienca, otaczającego jego głowę, mógł, ale nie poprzestał i za ziszczenie swych marzeń oddał i wieniec chwały i swoją siwą głowę. Bo w jego mniemaniu śmierć za wiarę i za ojczyznę była największym szczęściem na świecie. „Życzę sobie tego, abym mógł zdrowiem swoim zastąpić niebezpieczeństwo ojczyzny, a położyć żywot z pogany dla wiary świętej chrześcijańskiej“, tak pragnął, a śmierć tę chwalebną uważał za łaskę Boga tak wielką, że on, co życie przeszedł nieskalany i prawie święty, czuł się tej łaski niegodnym. „Życzę pewnie sobie śmierci tak słodkiej dla wiary świętej i dla ojczyzny, ale nie wiem jeśli tej łaski od Pana Boga godzien“. Słowa te nakreślił bohater w testamencie swoim, pisanym na jedenaście lat przed zgonem i przez cały ten szereg lat czekał spełnienia tej łaski, co miała ukoronować chwalebny żywot jego.

Chwila ta się zbliżała. Nim nadeszła, los zgottał dlań kielich gorzkości, który on, bez szemrania wychylił aż do dna.

Zrywała się bowiem burza ciężka i groźna. Po kilkunastoletnich nawałnicach od północy, od wschodu i od zachodu zawisły złowrogie chmury od południa: powstawał na Rzeczpospolitą wróg nowy, wytrwały i zacięty, podszuwany przez nieprzyjaciół Polski, drażniony zuchwałemi wyprawami rozhukanych królewiat i nieokiełzanych kozaków. Potęga turecka, postrach i groźba Europy ówczesnej, gotowała się do najścia na Rzeczpospolitą i powoli gromadziła swe siły. Od roku 1617 wisiał nad Polską ów bicz Boży, ale go w Polsce nie chciano widzieć. Król, pochłonięty polityką fantastyczną, znajdował ludzi i środki do niesienia niewczesnej pomocy Austrii prze-

ciwko Czechom, Węgrom i protestantom, nie miał jednak ani wojsk, ani pieniędzy dla obrony własnego państwa. Dynastowie szlacheccy w pogoni za koroną mołdawską niesli swe głowy na pochybel i ginęli marnie i sami i ich hufce, a nie chcieli ważyć ani życia, ani mienia dla obrony granic zagrożonej ojczyzny, oni, którzy pychą swą i chciwością sami na ojczyznę nieprzyjaciół ściągali. Zasłoną jedyną Rzeczypospolitą i ostatnią jej obroną była osoba wielkiego hetmana. Rozkaz króla był dlań wszystkim: starczyć miał za wojska, których jeszcze nie było i za środki, których już nie było. Rozkaz króla dla tego męża, co rozumem i duchem wielkim przerastał o całe niebo rozwicholonych i zuchwałych wobec majestatu królewskiego magnatów, rozkaz króla był dlań rozkazem Bożym. „Wolałem rozkazaniem Waszej Królewskiej Mości się sprawować, niż zdaniem swoim, mało bowiem rozumu mego, a wiem, że przy Waszej Królewskiej Mości — anioł Boży, i serce króla w rękach Bożych“. Spełniał więc ślepo prawie niepodobne do wykonania rozkazy z pokorą świętego i z karnością szeregowca.

Od lat trzech, stosując się do woli królewskiej, stał hetman na kresach południowych z garścią wojsk kwarcianych, otoczony szczupłym zastępem swoich najbliższych. Na tem stanowisku prawie sam jeden, silny jeno rozkazaniem Jego Królewskiej Mości i niezłomnością swego ducha, miał wódz polski za zadanie tłumić jedną ręką bezmyślne prowokacje magnatów i kozaków, a drugą grozić czyhającemu wrogowi. W tych warunkach można było zginąć chwalebnie i nie osiągnąć celu, postanowił więc Hetman zdobyć mądrością to, czego nie mógł wziąć przewagą — wygrać czas, dać swej ojczyźnie termin najdłuższy dla skupienia sił, dopomódz jej, aby mogła skutecznie sta-

wiść czoło dzikiemu najezdcy. Dla Polski byłoby to zbawieniem, dla niego była to próba może w życiu całem najcięższa, — dla niego, który przywykł był jedynie zwycięskie trofea kłaść przed narodem i monarchą. Nie wahał się jednak ani chwili, z zaparciem się niewymownem, wzgardziwszy miłością chwały i oklaskami tłumów, Hetman dwukrotnie zażegnał zrywającą się burzę. Najpierw, gdy trzymając w gotowości swój nieliczny oddział, nie napadając, ale nie uchylając się od napaści, skłonił w roku 1617 pod Buszą do układów dziesięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela, i znowu, gdy pod Oryninem, trzymając w skupieniu swe siły drobne, nie dał się wciągnąć do boju w warunkach niedogodnych, swą obecnością zbrojną onieśmielił najezdców i nie pozwolił im zapędzić się w głąb kraju. Taktyką swą Hetman wielki nie tylko zasłonił państwo od najazdu, ale, co najważniejsza, zyskał całe trzy lata do przygotowań wojennych, zdobył to, co w walkach narodów jest najpotężniejszem i najważniejszym — zdobył czas na nieprzyjaciela i oddał go ojczyźnie. Jak drugi Jozue zatrzymał słońce dla swoich w chwili stanowczej. Chwila zaś była stanowczą i ważną — bo był to przeddzień pierwszej wojny Rzeczypospolitej z potęgą turecką, najważniejszą wówczas potęgą świata.

II.

Doniosłość wojny z Turkami polegała głównie na tem, że była to pierwsza wojna dla stron obu. W starciu z nowym i silnym współzawodnikiem, naród nabiera sił, zwiększa zasób energii i zdobywa w razie zwycięstwa nowe podstawy pomyślnego rozwoju. Dlatego ludzie, w których ręku losy narodu spoczywają, nie zaniedbują nic, aby osiągnąć zwycięstwo. Rozumiał to król Stefan i w tajemnicy rozpoczął przygotowania do walki. O planach jego wiedział tylko Stanisław Żółkiewski i dwóch jeszcze Polaków. Hetman więc oddawna snuł w myśli plan odnowienia ojczyzny w ogniu walki i w tryumfie zwycięstwa. Człowiek czynu widział zbawienie upadającego narodu w wielkim zbiorowym czynie i chciał do tego przygotować ojczyznę jaknajlepiej, chciał już oddawna energii. Nie dziw więc, że ze smutkiem i niemal rozpaczą widział rozpoczęcie niedojrzałego dzieła. Ze śmiercią wielkiego króla minął czas wielkiej przyszłości dla państwa. Powiernik i spadkobierca myśli Stefanowej, wołał Hetman głosem wołającego na puszczy, budząc uśpionych i przekonywując zbłąkanych. Wreszcie umilkł i postanowił zginąć tak, aby śmiercią swą jeżeli nie do zwycięstwa i wy-

niesienia ojczyzny, to przynajmniej do obrony jej i ocalenia, pobudzić współbraci. Nie można wątpić o tem jego postanowieniu, cała bowiem spuścizna jego czynów i myśli z ostatnich lat jego życia świadczy o tem najdowodniej.

Aby poprawić błąd tyloletniej bezczynności, Hetman zdołał na samym nieprzyjacielu wymódrzyć trzy lata zwłoki i było to już rzeczą zapалу, dobrej woli, ofiarnej miłości dla ziemi ojczystej tych wszystkich, co władzę i broń dzierżyli, aby ta zdobycz wydała pożądane owoce. Cóż uczynił stan rycerski, ówczesny władca Polski, aby wysiłki wodza nie poszły na marne? Niestety, stan rycerski był wówczas tłumem ludzi o sercach rozdzielonych i umysłach wązkich, ślepy przed niebezpieczeństwem i bezradny po klęsce. Na wezwanie do czynu odpowiedział milczeniem, a zamiast głosów uznania dał się słyszyć syk potwarzy i oszczerstwa. Bo Hetman, ratując kraj i wchodząc w czasowy układ z przerażonym nieprzyjacielem, miał na względzie jedynie dobro ojczyzny i nic z jej dostojenstwa nie uronił, ale za to nadeptał na głowę hydry warcholstwa i pychy, wzbraniając tym, którym szlachecka korona zbrzydła — szukania w Mołdawii korony monarszej. Więc zawrzało wśród szlachty od oburzenia i zgrozy. Ośmielono się zarzucić zwycięzcy z pod Rewla, Udyszy, Wessenberga, Guzowa i Kłuszyna niepotrzebną ostrożność, uchylanie się od wstępnego boju, poniżenie godności Rzeczypospolitej... Tak krzyczało warcholstwo za podszeptem zawiści. Wielki Hetman postanowił osobiście odpowiedzieć potwarcom. Nie potrzebował ich szukać: znalazł wszystkich zebranych na sejmie w Warszawie w roku 1618. We wzniosłej mowie, z tego samego miejsca, na którym przed laty przedstawił królowi i stanom koronowanych jeńców, odpierał sędziwy bohater kłamli-

we zarzuty, wyjaśniał prawdę i wzywał oskarżycieli, aby go bez obawy skarżyli. „Tu jest pole, tu miejsce, aby mię każdy śmieie w oczy w sprawach moich winował, dostaję mu prawa bez pozwów ani mandatów“, mówił, a potwarz, kryjąc się, umilkła a ani jeden głos się nie podniósł przeciwko wielkiemu starcowi.

Nie obronę jednak osoby własnej miał głównie Hetman na myśli. Chodziło mu o to, aby poruszyć serca marmurowe, aby rozjaśnić dusze ośleple w mrokach pychy i samolubstwa, aby je pociągnąć do wielkiego, wspólnego czynu, do obrony zagrożonej ojczyzny. Rozumiał, że niechęć do jego osoby mogła być ku temu przeszkodą, więc chwycił się ostatniego środka i postanowił ustąpić. Kończąc swą mowę, zwrócił się do króla: „Rzetelną sprawę z czynów mych zdałem, niech wedle nich zgromadzone tu stany sądzą o mnie. Ufam miłościwy królu, iż Wasza Królewska Mość Pańskim rozsądkiem, nie uznając mię występny, uznać atoli raczysz, jako mi już na latach, a co więcej na siłach i na zdrowiu schodzi. Takiem się już schylił do ziemi, że mię więcej na żadne usługi Rzeczypospolita dogodnym mieć nie może. Czas naprawdę, abym przed śmiercią, w tej chwili zeszłości mojej, użył wytchnienia, abym wypoczął po tylu trudach i po tylu cierpieniach od zelżywych języków. Już to na harcach, bitwach i szturmach krew moją dla Rzeczypospolitej rozlewając, czterdzieści i cztery obozy złożyłem, a przecież ja zły, przeto, żem na ramionach moich bezpieczeństwo Rzeczypospolitej dźwigał, a ci tylko dobrzy, co też Rzeczypospolitą tylekroć o niebezpieczeństwo przywiedli. Pokornie więc i uniżenie Waszą królewską Mość, Pana mojego Miłościwego upraszam, abyś ten urząd Hetmański, tak ciężki na teraźniejsze lata moje, z dobrośliwości swojej ode mnie odebrać raczył“.

I składał w ręce króla buławę i pieczęć, oznaki swej władzy, i czekał, że ci, co go dla zazdrości dostojenstw i zaszczytów krzywdzili, zechcą, w nadziei otrzymania ich, spełnić względem ojczyzny obowiązek synowski. Ale w ciężkiej chwili poządlliwość i pycha umilkły i król, z wyrazami wdzięczności i uznania zwrócił Hetmanowi symbole jego władzy... i znów, jak poprzednio, rozkazał, bronić granic Rzeczypospolitej bez wojska, bez zasobów i bez pieniędzy.

Hetman zrozumiał, że zdobyty czas i poświęcenie się jego poszły na marne. Zrozumiał, że nastąpiła chwila wymowy nie słów, lecz czynów, że na to, aby poruszyć zastygłe sumienia, trzeba u stóp majestatu królewskiego złożyć buławę i pieczęć oblane krwią jego własną, i że chyba ofiara starego życia jego zdoła poruszyć do wielkiego czynu ludzi zdolnych dziś jedynie do czynów małych, zdoła przygotować upragnione zwycięstwo. Może wówczas mąż Boży miał wizję proroczą, że do tryumfu chocimskiego należy iść przez dolinę Cecory.

Niebawem z tej fatalnej dla Polski Wołoszczyzny doszły do Warszawy prośby o pomoc, opiekę i przyjęcie pod władzę królewską. To gospodar Grazianni wzywał Polaków do wojny z Turcyą i na przynętę ukazywał swój kraj. Już nie obrona granic, ale wojna wstępna zaprzętała umysł króla, który snując plany szerokie, nigdy nie myślał o środkach do ich wykonania. Hetman już w domu, na zamku w Żółkwi, otrzymał rozkaz wkroczenia do Mołdawii. Rozkaz królewski dla starego wodza był wyrokiem Bożym, więc zaczął gotować się do wyprawy i do śmierci. Nim wyruszył w pole, listownie pożegnał się z królem. „Mający wkrótce stanąć przed najwyższym sądem Boga mego, powtarzam, zem Waszej Królewskiej Mości i Ojczyźnie mej zawsze wiernie służył, jeżelim

w czym powinności mej nie dopełnił (bo człowiek jestem), racz Królu ułomności ludzkiej darować...” I ze zboląłego serca wyrывa mu się skarga na tych, co tak niebacznie marnowali dzieło pokoleń i wieków: „Żyłem aż nadto i czegożem w tem długim życiu doświadczył, cóżem widział? Domowe niezgody, wojny niepotrzebnie wzniecane, niedołążnie wiedzione, przy najświetniejszym męstwie fatalną, psującą wszystko niesforność i chciwość, pogardę praw, zniewagę Majestatu, niestety samej nawet wolności, nakoniec prześladowanie, odmowę, ścigające wiernych Ojczyźnie mężów! Są to, Miłościwy Panie, doznania, co i zachód życia mego zmierzyły”. I zaprawdę musiał ów człowiek mieć duszę nieludzką, ale anielską, gdy za tych, kogo tak znał i tak sądził, szedł na śmierć, a którym poprzednio całe swe życie poświęcił.

Gdy tak Hetman Wielki wybierał się na wojnę, na swą wojnę ostatnią, na czterdziesty piąty i ostatni swój obóz, nad zamkiem w Żółkwi okazała się jasność niezwykła. W natchnionem przeczuciu patrzył stary wódz na ów blask niebieski, co duszę żołnierską pociągał do siebie, jak blask nowego, lepszego świata i szczęśliwszego życia. „Na moją to głowę” — rzekł Hetman i od tej chwili z pośpiechem jakimś wyrocznym, jakby naglony przez jakiś głos tajemniczy, dokańczał przygotowań do wyprawy i nie mieszkając ruszył w dal jasną, w wieczność, otwierającą swe podwoje — do dawno oczekiwanego i pożądanego kresu ziemskiej podróży. Życzył sobie śmierci dla wiary i Ojczyzny, ale nie wiedział, jeśli jest tej łaski od Pana Boga godzien. To też, gdy ujrzał blask lecącego w nieskończoność komety, poznał wnet rycerz Boży, że łaski tej Niebieski Pan udzielić mu już raczył.

III.

Nie piszemy wojennej historii wyprawy Cerskiej. Założeniem naszym jest przypomnienie ostatnich chwil życia i zgonu wielkiego człowieka i wznowienie czci należnej jego pamięci. Musimy jednak pobieżnie zaznaczyć ważniejsze momenty „ostatniego obozu” Hetmana, bo w nich znajdziemy ukryte sprężyny, mającej się nibawem rozwinąć wstrząsającej katastrofy dziejowej.

„Minęła chwila przełożeń, słuchać tylko i bić się należy” wyrzekł Hetman po otrzymaniu rozkazu królewskiego i słowa temi zamknął pierwszy akt dziejowej tragedii, gdy już się był zawiązał węzeł nieuniknionego losu i skupiły się duchowe czynniki, wpływające na bieg wypadków.

Naprawdę bowiem i niepowrotnie minęła chwila przełożeń, a wyciągnięta struna pokojowej harmonii z niebezpiecznym sąsiadem pękła nareszcie. Żadne układy i traktaty nie mogły odwrócić stanowczej rozprawy z Turkami. Wódz odpowiedzialny i mąż stanu, usuwał Hetman niebezpieczeństwo i domagał się gotowości bojowej, a gdy czas ten minął bezowocnie, żołnierz i wódz rozpoczynał swe zadanie, nie oglądając się na środki i na okoliczności. W walkach narodów, na polach bitew — cuda się dzieją i żaden

wielki wódz nigdy o tem nie zapomina i wiary w zwycięstwo nigdy nie traci. A gdy zwycięstwo okaże się niepodobnem, to i wówczas jeszcze zadaniem wodza jest czynić wszystko, aby uniknąć klęski, która nie zawsze bywa towarzyszką przegranej. Takie właśnie znaczenie miały słowa Hetmana: „słuchać tylko i bić się należy”.

Do rozporządzenia Hetmana były oddane wszystkie możliwe do użycia wojenne siły Rzeczypospolitej, znajdujące się u południowych granic państwa. Siły te, w małych oddziałach rozrzucone po Rusi, zostały w ciągu lipca 1629 r. skoncentrowane pod Barem na Podolu, dokąd w końcu sierpnia przybył Żółkiewski i, stanąwszy na ich czele, ruszył w pochód ku Dniestrowi.

Wartość wojsk zależy od ich liczby i od ducha, jaki je ożywia... Częściej się zdarza, że duch podwaja siłę liczebną, odwrotnie nie bywa nigdy.

Jakże się tedy przedstawia szczupła armia Hetmana pod względem liczebnym i duchowym?

Pod Barem zgromadziły się siły, składające się z 5.000, lub może nieco więcej, żołnierza. Jeżeli się zważy, że garstka ta miała wkroczyć do najpotężniejszego wówczas w Europie państwa, zdobyć cały kraj i „rekuperować” go, jak się wówczas wyrażano, dla Rzeczypospolitej, to jasnem jest, że cała ta wyprawa wyglądała raczej na szaleństwo polityczne niż na czyn polityczny. Przyczyna tego polegała na tem, że wówczas, jak i później, jak i dziś zresztą, wierzono w to, czego się pragnęło, a nie w to, co istniało w rzeczywistości. Wierzono, że gospodar multański, ów Graziani który tę wojnę wywołał, jest tak wojskowo zasobny, że szczupłe siły polskie, w połączeniu z zastępami Wołochów, dziesięciokrotnie się powiększą. Nie pomyślano o tem, że gdyby gospodar naprawdę mógł do-

trzymać obietnic, to nie potrzebowałby pomocy polskiej i sam rozprawilby się z Turkami. W tem nieporozumieniu tkwiła przyczyna porwania się z garstką ludzi na dzieło, wymagające uruchomienia potęgi całego ówczesnego państwa polskiego.

Czy Hetman rozumiał to? O tem wątpić nawet nie możemy, bowiem byłoby zniewagą dla jego jasnego umysłu, dla jego geniusza wojennego, gdybyśmy mogli mniemać, że on nie zdawał sobie sprawy z położenia. On sam przecie, własnymi słowy, upewniał nas o tem, gdy w liście do króla pisze: „Wojna z Turkami nie jest igrzyskiem. Tyle państw i królestw rozbiło się o tę skalę. Potężniejszych sił, dojrzałych przygotowań potrzebowała podobna impreza“. Tak pisał Hetman, wyjeżdżając do wojska, nie łudził się więc zupełnie. Czy wierzył w obietnice hospodara? Ani nawet na chwilę, w tym samym liście, z uszanowaniem należnem majestatowi królewskiemu, przypomina, że król Stefan innych aliansów szukał dla wojny z Portą i wymienia układy ze Stolicą Apostolską, królem hiszpańskim i Carem moskiewskim. Już samo to zestawienie jest najwymowniejszą odpowiedzią.

Czy duch, który ożywiał wojsko, idące na wyprawę, czy siła jego moralna była równoważnikiem ličzebego ubóstwa, czy pozwalała się spodziewać, że z tymi ludźmi można jednak wielkich rzeczy dokonać? W tem pytaniu tkwi cały dramat, bo na to pytanie i dziś jeszcze można odpowiedzieć i tak i nie, pomimo to, że Hetman odpowiedział: tak, a dzieje odpowiedziały: nie.

Skład wojska był następujący: kilkanaście chorągwi husarskich, razem 1.500 jeźdźców, będących, jak wiadomo, czołem i chlubą sił zbrojnych kraju, 1,200 lisowczyków, pod dowództwem Rogowskiego,

k którzy swem zuchwałem męstwem sławni już byli w całej Europie, 200 koni rajtaryj cudzoziemskiej pod dowództwem Hermana Denhoffa i 2,000 piechoty cudzoziemskiej i kwarcianej pod komendą Wolframa Farenbacha. Zastęp to był nieliczny, ale w bojach doświadczony i pewny. Najemny oddział, złożony z 2,000 kozaków, partyzantów, wypróbowanych w wyprawach na Turków i znanych z dzikiej waleczności, podnosił nader skutecznie wartość bojową szczupłych sił Hetmana. Wartość wyszczególnionych rodzajów broni była tak pewną, a tradycja ich wojenna tak świetną, że pomimo śmiesznie szczupłej swej liczby, dawały one wodzowi pewność, jeżeli nie zwycięstwa, to zaciętej obrony, dotkliwego osłabienia przeciwnika i w żadnym razie dokładnego wykonania planu wodza bez względu na trudności i przeszkody taktyczne.

Ale w łonie tego pięknego instrumentu wojennego, który w rękach mistrza nadawał się do niezwykłego nawet użytku, w łonie jego tkwił, niestety, czynnik rozkładu i rozprężenia, czynnik niedyscyplinowany i warcholski. Ten żywioł ujemny składał się z oddziałów możnowładczych, zostających pod bezpośrednią komendą swych właścicieli i nietylko w tym wypadku, ale zawsze i przedtem i potem, uchylających się od karności i posłuchu wojskowego. Hufce te nieliczne i raczej zawadyackie, niż wojskowe, należały nadto do osobistych nieprzyjaciół i zawistników Hetmana, którzy, ani w chwili niebezpieczeństwa, ani dla miłości Ojczyzny, o swym ukrytym rankorze zapomnieć nie chcieli, a będąc ludźmi wielkiego męstwa i niezwyklej w boju odwagi, tem niebezpieczniejsi byli dla dyscypliny, której się poddać nigdy nie chcieli, i dla karności, której nigdy nie uznawali. Hetman znał dobrze oba odłamy swoich wojsk, słu-

sznie liczył na pierwszy i na nim się też nie zawiódł, może niesłusznie zapomniał o wadach drugiego i gdyby mniej ufał tym, kogo zresztą znał dobrze, to powinien był hufce królewiat pozostawić w domu, a wówczas jego czcigodniejsza głowa nie wisiałaby może u stropu pałacu padyszacha. Na czele tych to drobnych, ale niebezpiecznych hufców ochotniczych stali następujący dowódcy: Aleksander Kalinowski, Jan Tyszkiewicz, Stefan Chmielecki, Samuel książę Korecki, Mikołaj Struś i Jan Odrzywolski. Przytaczamy te nazwiska, bo na nie spada cały ciężar nieszczęścia, zwanego bitwą pod Cecorą, cały ciężar nieszczęścia, bo wówczas nawet warcholstwo wystrzegało się hańby i ci nieliczni z wymienionych, którzy śmiercią natychmiastową swego błędu nie opłacili, ci wszyscy, później życie poświęcali dla splukania z nazwisk swych krwią własną plam nabytych pod Cecorą. Hetman tedy mógł liczyć na to, że małe liczebnie siły wojskowe, wartością swą i duchem je ożywiającym pokryją brak liczby i że będą się nadawały do wykonania jego planu.

Jakim był ten plan? Wiemy, że stary wódz nie łudził się wcale, że szedł na śmierć pewną, że spełniał ślepo rozkaz królewski, bo wierzył, że serce króla jest w rękach Boga, wiemy, że jednak on, mąż wielki i naród swój miłujący, czynił z siebie i ze swych żołnierzy ofiarę nie bezmyślną i nie chępliwą, ale rozumną i celową, że spełniał ją dla Ojczyzny, to znaczy z największym dobrem i pożytkiem Ojczyzny.

Rzućmy okiem na początek działań wojennych, a sam przebieg wskaże jakie były zamiary wodza. Prawie jednocześnie z koncentracją szczupłej armii polskiej pod Barem, rozpoczął się ruch sił tureckich. Doskonale uświadomieni o tem co się dzieje, Turcy nie zwlekali i pod dowództwem Iskendera Baszy zo-

stały zgromadzone wszystkie wojska z okolicznych sandzaków. W pochodzie łączyły się z nimi zastępy akkermzańskich Tatarów i hordy krymskiego Kałgay sułtana, chańskiego namiestnika. W sierpniu armia turecka była już w pełnym marszu ku granicom Polski, a wobec tego najważniejszą rzeczą ze strony wodza polskiego było szybkie wkroczenie na terytorium tureckie, bo tylko taki śmiały ruch zaczepny umożliwiał nielicznym wojskom Hetmana zasłoneżonej otwartej granicy kraju ojczystego. Armia turecka szła frontem rozciągniętym, więc szybkie zajęcie stanowiska na jej skrzydle zmuszało ją do zatrzymania się i do zmiany kierunku. Manewr był trudny i tylko dla wielkiego wodza dostępny. Warunkiem najpierwszym dokładnego wykonania tego ruchu była szybkość i stanowczość. Reszta zależała od męstwa i od okoliczności.

Jak tylko więc Hetman w dniu 25 sierpnia przybył do Baru i zrobił przegląd swych wojsk, to nie zważając na ich małą liczebność, wydał rozkaz niezwłocznego wymarszu i w szybkim pochodzie posunął się ku brzegom Dniestru. Tu dał wojsku parę dni wytchnienia.

Gdy wódz polski stanął nad Dniestrem, to było to tak, jak gdyby stanął nad polskim Rubikonem: rzucały się losy, i jego i Rzeczypospolitej. Na przeciwnym brzegu następował pierwszy moment ważny i nieodwołalny — początek tego, co się kończyło drugim momentem, już ostatnim, zwycięstwem albo klęską.

Wówczas przypuszczano, że Hetman nie przekroczy Dniestru, że, wyprawivszy niewielki oddział na pomoc Hospodarowi, będzie w obranej pozycji oczekiwał przybycia nieprzyjaciela. Taktyka ta wyda-

wała się wielu, a zwłaszcza dowódcom pocztów własnych, — najbezpieczniejszą, była jednak w rzeczy samej najniebezpieczniejszą, bo nęciła nieświadomą nadzieją łatwej ucieczki, a kraj cały odrazu wydawała na łup najeźdźcy. Wiedział o tem Hetman i tego właśnie nie chciał, był bowiem zanadto wielkim wodzem, aby idąc nawet na klęskę, nie użył wszelkich środków na zmniejszenie jej skutków. Zresztą wiedział on również dobrze, jak i my teraz, że wielką wyższością w walce było przeniesienie jej na ziemię przeciwnika, i że na obcym gruncie nawet klęska, choćby najdotkliwsza, nie pociąga tak strasznych następstw, jak porażka we własnym kraju. Znając zaś wojska regularne, stanowiące znaczną część jego oddziału, Hetman miał podstawę mniemać, że mu się uda wyjść obronną ręką ze starcia, lub w razie przegranej, uczynić ją najdotkliwszą dla wroga, i przedłużyć walkę do najdalszego kresu. Zamiarem więc wodza było najpierw zasłonić kraj, a następnie, oprócz przyprawienia o jak największe straty przeciwnika, zatrzymać go jak najdłużej na jego własnym terytorium i zdobyć dla swych współobywateli nowy czas do przygotowań, czas, mierzymy już nie na lata, ani nawet na miesiące, ale na tygodnie i na dni. Osiągnięcie tej nowej zwłoki było tem cenniejszem, im wojska nieprzyjacielskie były bliższe granic Rzeczypospolitej. I dlatego, i tą właśnie myślą opanowany, pisał stary bohater w swoim liście do króla te pamiętne słowa: „Bogu tylko świadomo, jakie będzie wynijście z tej wojny, jeżeli, co odwróć Boże, przeciwne, spełni się to, czegom zawsze żądał, nie przeżyję niesławy, polegnę za Wiarę świętą Katolicką, za Króla, za Ojczyznę moją. Lecz w każdym przypadku, Królu, Panie mój, czekają Cię wielkie prace i wielkie trudy”. Aby dać czas swemu królowi dla wykonania tych

prac i tych trudów, oddawał Hetman na ofiarę swoje życie.

Taka była różnica w rozumieniu celów i zadań wojny między wielkim wodzem i tymi z liczby jego towarzyszy wyprawy, którzy, przy niezaprzeczonem męstwie osobistem, nie zdołali pojęcia o wojnie oddzielić od pojęcia zajazdu i patrzyli na nią ze stanowiska popisów turniejowych.

Nic tedy dziwnego, że dowódcy pocztów własnych byli niemile zdziwieni, gdy 5-go września Hetman przeprawił się z wojskiem na drugi brzeg Dniestru i niezwłocznie wyruszył w głąb kraju. Dnia 12-go września wojska stanęły o dwie mile od Jass w dolinie Cecory.

IV.

Cecora!... Co nam mówi ten wyraz? Czemu, po trzystu prawie latach, dźwięk jego brzmi w uszach jak dzwon pogrzebowy, wywołuje dreszcz zgrozy i w sercu boli jak ostrze sztyletu?...

„Cecora, rozległa na wołoszczyźnie równina, o mil dwie od Jass, na prawym brzegu Prutu, 4½ mili od miasta Skulan położona, pamiętna w dziejach naszych straszną klęską wojsk Rzeczypospolitej“...*) tak poucza źródło naszego ziemioznawstwa.

Są jednak równiny upamiętnione również klęską wojsk Rzeczypospolitej, ale tyle bólu i żałoby nie łączy się z nazwiskiem żadnej, oprócz jednej, straszniejszej jeszcze może niż Cecorska, bo więcej beznajdziejnej i grobowej... Czemuż z tem krótkiem, suchem, szkolnem określeniem wnet się kojarzy pojęcie pełne łez, zgryzoty i żalu za przeszłością, która mogła być lepszą?...

Cecora — to miejsce nadludzkich czynów bohatera, miejsce największej chwały i jego świętego zgonu...

Cecora — to miejsce, gdzie nie było już żadnej

*) „Słownik Geograficzny“ t. I.

nadziei, ani żadnej przyszłości, gdzie była jeno krew i śmierć i potępienie, miejsce straszne nie klęską, lecz rozdzieleniem serc“, pierwszym wówczas wobec wroga, później, niestety, już nie nowem i podobno do dziś jeszcze nie skończonem...

Na tem to miejscu, jak na Bożym posterunku, stanął bohater, aby stąd zasłonić kraj, ścignąć na siebie roje nieprzyjaciół, gotowych wpaść do otwartych granic Ojczyzny, aby, walcząc na ich własnej ziemi, trzymać najeźdców na sobie, aż do chwili, gdy jego współbracia zbudzą się ze snu. Bowiem na to, aby sen ów przerwać, trzeba już było burzy, gromów i błyskawic.

Dnia 17-go września ukazały się pod Cecorą przednie strażyska wojsk nieprzyjacielskich. Armia turecka, zagrożona od lewego skrzydła, w ciągu pięciu dni wykonała zwrot na prawo, zawróciła z drogi do granic polskich i całym swym ciężarem zaczęła opadać na obóz hetmański. Pod dowództwem Iskendera Baszy i wodzów tatarskich Dewlet Gireja i Kantemira od frontu i z boków, na prawo i na lewo rozlały się nieprzejrzone zastępy stutysięcznego wojska turecko - tatarskiego.

Dla starego wodza przewaga liczebna nieprzyjaciół nie była nowiną i nie była przeszkodą do zwycięstwa. I pod Kłuszynem był podobny stosunek sił, ale tam zawiść, warcholstwo i nieposłuszeństwo nie poszły z wodzem na pole bitwy, zostały pod Smoleńskiem, skąd odsunęły Hetmana, śląc go na niebezpieczne stanowisko. Pod Cecorą i zawiść i wszystko złe towarzyszyło Hetmanowi.

W przeddzień bitwy, gdy piorun podczas nawałnicy uderzył w buńczuk, noszony przed Hetmanem, i zdruzgotał go w kawałki, ujrano w tem znak niechybnej klęski. Takie przeczucia bywają dostępne

sercom strwożonym i tym razem przeczucia miały się spełnić.

W owym czasie wieści z pola walki szły powoli i niepewnie. Najczęściej zwycięzcy lub zwyciężeni sami je nieśli w progi ojczyste wraz z wieńcem warzyny lub kirem żałoby. Z pod Cecory, w ciągu dwóch tygodni od czasu rozbicia namiotów, nie doszły żadne nowiny do kraju. Wiedziano tylko, że szczupły oddział hetmański jest zewsząd otoczony przez nieprzyjaciół i że wódz zajął stanowisko obronne w starych szańcach, usypanych przed dwudziestu czterema laty przez niego samego wraz z Zamojskim, gdy tu, pod jego dowództwem stawał pierwsze kroki na polu chwały.

Wreszcie zaczęły dochodzić wieści o bojach. Niech je opisuje sam Hetman w swoim liście do króla, w liście już ostatnim, a tak spokojnym i pogodnym, jakby autor jego, idący w wieczność, siedł na gody weselne.

Pod datą dnia 24 września pisał Hetman:

„Najjaśniejszy, miłościwy Królu! Oznajmiłem Waszej Królewskiej Mości Panu memu miłościwemu o przyjeździe Sułtana Gałgi i Skinderbaszy, zechmy ich co godzina wyglądali, o czym, jeżeli list mój doszedł, raczyłeś Wasza Królewska Mość wyrozumieć. Przyszedł tedy sułtan Gałka i Skinderbasza, — tu pod obozem stanęli. Nazajutrz, w piątek, mieliśmy z nimi potrzebę, w wieczór, z łaski Bożej, fortunną, — zraziliśmy ich z pola; trwała ta burda między nami, — aż zmrokiem wróciliśmy się i oni, i my do obozu swego“.

„Zaś w sobotę, za zdaniem zgodnem wszystkiego rycerstwa, wyszliśmy w pole wstępnym bojem *),

*) aperto Marte

z wojskiem uszykowanem, zwiedliśmy potrzebę z nie-mi odkrytą; i trwała bitwa sześć godzin: od południa aż do samej nocy; za nierozstrzygnięciem bitwy *) — stanęło: zeszli oni do swych stanowisk, poszli i my do swego taboru. Były rzeczy dobrej nadziei, że potężnie i dalej mogliśmy czynić przeciwko temu nieprzyjacielowi“.

Tak brzmi początek ostatniego raportu, złożonego przez bohatera swemu królowi i potomności. Tu się wstrzymujemy na chwilę, aby rozważyć koniec przytoczonego ustępu.

„Były rzeczy dobrej nadziei“ — pisze hetman, bo w bitwie tej, pomimo strasznej przewagi nieprzyjaciela, walcząc jeden przeciwko dziesięciu i więcej przeciwnikom, żołnierz polski nie dał się zwyciężyć i byłby sam zwyciężył, gdyby, o czym wódz nie wspomina, a co stwierdza jeden z ocalonych uczestników wojny, rozkazy hetmańskie były ściśle wykonane, gdyby przepisowy szyk bojowy, tak ważny, w owe czasu, był nienaruszony i gdyby pojedynczy wodzowie pocztów własnych nie zostali uniesieni zapalem niewczesnych popisów harcowniczych. Bo cóż z tego, że Książę Samuel Korecki wyjeżdżał sam, „na dzielnym koniu“, przed front nieprzyjacielski i z fantazyją homeryczną lżył baszów tureckich i wyzywał ich na rękę, czego oni oczywiście nie usłychali? Cóż z tego, gdy jednocześnie nie podtrzymano w stanowczej chwili prawego skrzydła, gdzie hetman polny Koniecpolski i dwaj młodzi Żółkiewscy sił ostatnich dobywali w szalonych szarżach na zbitą masę nieprzyjaciół. Brawura turniejowa nie starczyła za dyscyplinę, a popisy Koreckiego i takich, jak on, bitwy nie rozstrzygnęły. Prawe skrzydło mogło zaważyć na

*) aequo Marte.

szali zwycięstwa, ale tam walczył Koniecpolski, zięć wodza, Jan i Łukasz Żółkiewscy, syn i bratanek jego i krewniacy hetmańskiego domu... Zawisać czuwała i na polu bitwy.

W bitwie tej poległ śmiercią walecznych pułkownicy: Wrzeszcz, Komalikowski, Goślicki, Wahowski, Cielecki, Drobieżański, a prawie wszyscy dowódcy odnieśli rany od postrzałów i siecznej broni. Pomimo jednak błędów, mających usprawiedliwienie w wyjątkowych okolicznościach, dzień ten był dniem chwały oręża polskiego, dniem moralnego zwycięstwa, podniesienia ducha i wzmożenia energii. Słusznie więc mniemał wódz doświadczony, „że potężnie i dalej mogliśmy czynić przeciwko temu nieprzyjacielowi“, który w tej pierwszej, tak na jego korzyść nierównej walce, walce za sześciuset poległych żołnierzy polskich zapłacił stratą pół czwarta tysiąca swoich.

Ale... po dniu chwały nastała noc... noc hańby, wstydu i klęski...

..... : : :
Czytajmy jednak dalej list hetmański „Lecz nazajutrz, to jest w niedzielę, niemała część ludzi naszych, *którzy z wojska uciekli*, pomieszała nam rzeczy. Nie mianuję na ten czas nikogo, wszak sami tam się ukażą, którzy nas nieprzystojnie odbieżeli“.

I oto przed nami, w krótkich, spokojnych oraz smutnych słowach opowiedziany dramat dziejowy. Oto przed nami wyrasta zmora, której przeszłość nasza do owej chwili nie znała, — zmora gnębicielka duszy narodowej, zmora warcholstwa i „rozdzielonych serc“.

Jakież to los przeklęty wywołał ten pogrom niesłychany ducha jedności narodowej i posłuchu wojskowego? Co za szatan, zaczajony w cieniu nocnym,

sprawił, że żołnierz, którego przeważny nieprzyjaciół nie zdołał zwyciężyć, samobójczo sam się prawie zniszczył, bowiem ci „co z wojska uciekli“ stanowili niemal połowę sił hetmańskich?...

Niech i na to nam odpowie świadek naoczny, abyśmy nie szukali przyczyn rzeczy tak strasznych w drodze domysłów i przypuszczeń, niech nam odpowie jeden z tych, co sam walczył pod Cecorą, z bólem patrzył na tą noc szału i zbrodni i z otwartością żołnierza wyznał to, o czym wódz jego wzdragał się mówić.

„19 (września), pisze Łukasz Miaskowski, trwała żywa i ognista bitwa od południa do samego wieczora... *Chciał Jegomość pan Kanclerz jeszcze nazajutrz potrzebę zwieść*, bo mało ludzi naszych zginęło *), ale z niedzieli na poniedziałek, w noc ciemną, p. starosta kamieniecki Kalinowski, p. podkomorzy lwowski z halickim (Mikołaj Struś), Odrzywolski strażnik, Łaszcz, Tyszkiewicz, Gracyan z większą częścią wojska od nas uszli przez Prut łumustuose. Słychać było głosy tonących, ba i od szabel tatarskich na tamtej stronie Prutu umierających. Wątpliwa, aby kto znowu uszedł. Ci potrwożyli wojsko, że siła rozróżnionych serc. Atoli starsi do tego rzeczy wodzą, żeby tu, przy okopie, dla chwały Bożej i ukochanej Ojczyzny zdrowie położyć, jeden na drugim poledz...“

„Chciał jegomość Pan Kanclerz jeszcze nazajutrz potrzebę zwieść“ i oto w noc przed bitwą uciekają z pola walki... Kto? Tchorze? Nie! nie tchorze i nie słabi, ale rycerze, sławni z odwagi nieustraszonej; uciekają, jak tchorze i nędznicy, nie ze strachu, ale pchani do tej hańby przez zawisać i warcholstwo.

*) Wojsko było zdolne do boju.

To „serca rozdzielone“ w ich piersiach się ozwały i spędziły ich ze stanowisk, gdzie cześć i sumienie pozostać i zginąć nakazywały. I ci wojownicy rozgłośni uciekali jak tchorze „ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciółom“.

I wiemy, choć to nie stoi w onym strasznym liście, że wśród uchodzących był Samuel Korecki, który byłby bohaterem, gdyby więcej myślał o drugich niż o sobie, że wśród zbiegów, oprócz Gracyana, który nie był Polakiem, zdrajców nie było, chociaż to, co oni uczynili, było zdradą.

Owej strasznej nocy zły duch pychy, niezgody i niekarność, stary i do dnia dzisiejszego jeszcze niezwalczony wróg narodu naszego, po raz pierwszy wśród okopów Cecory, obchodził tryumf zupełny. Czego nie zdołał osiągnąć nieprzyjaciel zbrojny i przemożny, to sprawił w jednym oka mgnieniu ów szatan, trucieli duszy polskiej, który był i jest przekleństwem naszego życia zbiorowego i naszego posłannictwa dziejowego. I nigdy nie znamy ani dnia, ani godziny pojawienia się jego wśród nas i tyle tylko wiemy, że w chwilach walki i niebezpieczeństwa czyha na nas ów szatan historyczny i skrycie gotuje, wśród wszelkich objawów naszej pracy zbiorowej — nową klęskę — nową Cecorę.

W wojsku powstała panika, — najstraszniejszy nieprzyjaciel żołnierza. Za dowódcami poczęli uciekać szeregowcy. Uczyniło się piekło, któremu nawet nie brakło zewnętrznych cech podobieństwa do królestwa przekleństw i zatrącenia rozpoczęła się walka uchodzących z tymi, co ich przemocą chcieli zatrzymać, powstał rabunek namiotów i mienia nie tylko dowódców, ale i żołnierskiego, wreszcie wybuchł pożar obozu, składów żywności i amunicji. Ktoś

z wrogów Hetmana rzucił bluźnierczą wieść o jego ucieczce...

Wówczas ujrano starego wodza, jak poprzeczany przez buńczuk hetmański i otoczony pochodniami szedł w ich blasku po zgłiszczach obozu, szedł jak geniusz prawdy i poświęcenia, ukazując swą postać w czerwonym ogniu jarzących świeczników, aby nikt nie wątpił o jego obecności. Przez całą noc ową, noc klęski ducha i zwycięstwa sił piekielnych, stał bohater na rumowisku swej siły zbrojnej i swych zamiarów i skupiał koło hetmańskiego znaku resztki wojsk, drżące z trwogi i wzruszenia, jak rumak spłoszony.

Nad ranem okazało się, że przy Hetmanie pozostał zastęp rycerstwa zmniejszony więcej niż o połowę i liczący zaledwie 3,000 wojowników.

Z tłumu zbiegów, winowajców paniki, trzech tylko ochłonęli w zimnych falach Prutu. Rycerskie serca ozwały się w nich przecie i ci trzej, nie dopływając do przeciwnego brzegu, brzegu hańby i przemieszania, zawrócili do swoich i stanęli przed Hetmanem. Byli to Struś, Tyszkiewicz i Korecki. Hetman spotkał ich w milczeniu, a gdy zuchwały Korecki począł się usprawiedliwiać pogłoską o ucieczce Hetmana, wódz mu spokojnie odpowiedział: „ja tu stoję, a woda ze mnie nie ciecze“.

Ci trzej spełnili czyn skrucy równie wielki, jak była wielka ich wina...

Gdyby Turcy zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje w obozie polskim, mogliby w jednej chwili zniszczyć wszystko. Wrażenie jednak po walce stoczony w przeddzień musiało być tak silne, a straty poniesione tak dotkliwe, że ani ognie pożaru, ani krzyki tonących nie mogły ich pobudzić do napadu. Ograniczyli się tylko do tępienia oddziałów, ucieka-

jących na lewym brzegu Prutu. Wówczas z tych, co nie wrócili do obozu ocalał tylko Chmielecki i Odrzywolski i zaledwie kilkuset żołnierzy.

Czy ten cios straszny zachwiał ducha w wodzu bohaterskim? Wszak było od czego stracić i serce i głowę i nigdyby potomność nie wyrzekła ani jednego słowa potępienia dla męża, któryby się pochylił pod brzemieniem podobnego nieszczęścia. Ale bohaterera można złamać, lecz nie ugiąć. Więc zmienił Hetman tylko swą taktykę zaczepną i poprzestał na obronie, bo do ataku sił mu już zabrakło. Zmienił taktykę, ale serca bohaterskiego nie zmienił rycerz, osiwiwały w bojach zwycięskich, i myślał już tylko o tem, aby jego pierwsza i ostatnia klęska i synowska ofiara krwi, nie była dla Ojczyzny bezowocną.

Więc idźmy dalej wślad za bohaterem w jego pochodzie do nieśmiertelności.

V.

P o takiej dezercyi, niesłychanej w dziejach wojennych Polski, stawał się już niepodobnym do wykonania wspañiały manewr wodza, polegający, jak wiemy już, na tem, aby zajęciem zaczepnego stanowiska na flanku linii operacyjnej przeciwnika, małą siłą zasłaniać rozległą i otwartą granicę Rzeczypospolitej. Nie pozostawiało nic, jeno rozpocząć odwrót, bo to jedno mogło dodać otuchy wojsku, zmniejszonemu o połowę i upadłemu na duchu, — odwrót zbrojny i nie śpieszny, utrzymujący w żołnierzu nadzieję upragnionego powrotu do Ojczyzny, a w nieprzyjacielu pewność, że wódz w każdej chwili gotów jest na wszystko.

I próbuje Hetman, już po raz ostatni, zbudzić śpiących w domu, co się palił.

„Zapuscili się (Turcy) prosto byli ku państwu Rzeczypospolitej, atosmy ich tu zabawili, odważywszy na to zdrowie swoje. I dalej, co się godzi wiernej Waszej Królewskiej Mości sługom i dobrym synom Ojczyzny, czynić będziemy, według największego przemożenia naszego. Jeszcze przeglądając to wszystko niebezpieczeństwo pisałem pokilkakroć do Waszej Królewskiej Mości, żebyś raczył obmyślać

o pomocy i o posiłkach*), teraz sam czas ukazuje, że tego pilna potrzeba; zaczym pewniem, że Wasza Królewska Mość nie raczysz nas zapomnieć. My tymczasem do ostatniego tchnienia **) zatrzymamy przeciwko Waszej Królewskiej Mości całą wiarę i miłość przeciwko Ojczyźnie“. Tak się kończy ów ostatni list do króla, przytaczany już poprzednio, a będący ostatnim głosem hetmana o ratunek nie dla niego, ale dla zagrożonej Ojczyzny.

Ale głos ten tonął, jak w głuszy pustynnej, w sercach tych, co nie przystojnie odbieżeli i tych, co nieprzystojnie pozostawali w bezczynności. Na wezwanie odpowiedziała tylko małżonka hetmana, gromadząc, z niesłychanym trudem, garstkę ludzi na pomoc zagrożonemu mężowi. Nie było sądzono zacnej niewieście uratować małżonka ale mały ów zastęp przydał się jednak później krajowi... O królu i o tych, co radą jego byli, nie wiemy, czyli uczynili cokolwiek, ale wiemy, że Hetman już się na nikogo potem, oprócz Boga, nie oglądał.

Po wysłaniu listu od króla, Hetman jeszcze tydzień cały pozostał na pogorzelisku obozu Cecorskiego, odpierając nieustannie ataki turków i tatarów i czyniąc przygotowania do odwrotu. Postanowiono ustępować taborem, czyli w otoczeniu połączonych łańcuchami wozów, tworzących jakby ruchomą fortecę. Podczas pracy nad formowaniem taboru wrzała i we dnie i w nocy nieustająca bitwa, wśród której wódz ani na chwilę nie ustępował ze stanowiska. Jego namiot, umieszczony na widnem miejscu i odznaczający się w obozie, był zasypywany gradem nieprzyjacielskich pocisków. On sam, zawsze w pierw-

*) De subsidiis et suppienientis.

**) Ad extremum halitum.

szym szeregu, swem spokojnem męstwem i pogardą śmierci podnosił nadwątłego ducha w żołnierzu i budził obezwładnioną energię dowódców. Gdy walka na krótką chwilę ustawała—zbierał dokoła siebie kolejno szeregowców lub oficerów i w gorących i serdecznych słowach zachęcał do wytrwania i męstwa.

Wśród takich walk i takich prac ukończono budowę taboru i poczyniono przygotowania do opuszczenia doliny Cecorskiej.

Obrona taboru podzielona była między najdzielniejszych i najdoświadczeńszych dowódców. Na obu skrzydłach objęli komendę Samuel Korecki i Farenbach, nad środkiem — organizator taboru, Marcin Kazanowski, a w aryergardzie stanął naczelnik artylerii, najczynniejszy w całej tej wyprawie, Szemberg. Dnia 29 września wieczorem wyruszono z obozu. Nieprzyjaciel wyteżył wszystkie siły, aby wpędzić oddział polski do okopów i nie pozwolić mu się ruszyć. Po krwawej bitwie na Delidolinie Hetman utorował sobie drogę przez stojące w poprzek tłumy przeciwnika i dnia 30 września przeprawił się przez Prut.

Doszły nas nieliczne i niepewne szczegóły tego odwrotu, ale to, co wiemy, składa się na obraz jeden z najstraszniejszych w dziejach ludzkości. Szczupły hufiec, mający przed sobą, za sobą i z obu stron wiecznie ruchliwego i bez ustanku napastującego nieprzyjaciela, szedł, przebijając zastępy wrogów, po ziemi spalonej od słońca, przez stępy wyschłe i strątowane, wśród tumanów kurzu, bez wody, bez pożywienia, bez wytchnienia. W kłębach pyłu przelatowały chmury szarańczy i nad głowami walczących wisiał jakby powietrzny hufiec pomocniczy nieprzyjaciół, uwijających się w około. A wśród tych tłumów wrogich na niebie i na ziemi, wśród tej szarańczy ludzkiej

i niehumanitarnej, unosił się nad wymęczonym i upadającym żołnierzem upiór strasznej, utajonej i zawsze obecnej paniki, co już połowę sił pochłonęła i czyhała nad pozostałą połową, jak jastrząb nad uchodzącą coraz wolniej zdobyczą.

W tych warunkach wódz walczył z dwoma przeciwnikami, bo nie tylko musiał baczyć, aby co chwila odpierać bezustanne napady, wiszącego ze wszystkich stron wroga, ale musiał wyżyć cały zasób woli, do szaleństwa, nad tłumem już raczej, — nie nad wojskiem, bo po okropnych przejściach dni ostatnich, karność i dyscyplina mogły istnieć jedynie wysiłkiem woli wodza, nie były już siłą, co tłum zbrojny zamienia w potęgę zbiorową. Żołnierz, do głębi wstrząśnięty widokiem dowódców, opuszczających sztandar, sam przez nich porwany do zbiegostwa, powrócony do szeregu bez wiary w swe siły, trzymał się jedynie wiarą w naczelnego wodza i nieświadomym poddaniem się tajemniczemu wpływowi jego woli.

Pochód ten piekielny ku Dniestrowi, zaprawdę mógł się równać najświetniejszemu zwycięstwu. Szły bowiem nie wojska, ale resztki wojsk, nie żołnierze, ale cienie żołnierskie, z których duch wojenny uleciał. Postacie te, wymęczone głodem, bezsennością i walką, okryte ranami, nie wypuszczające z rąk oręża i torujące nim drogę wśród cmy nieprzyjacielskiej, zdawały się być postaciami nie z tego świata, posłusznymi mechanicznie jednej świadomej sobie woli, bezwolnie i bezmyślnie dokonywującymi cudów męstwa i poświęcenia.

I zaiste tak było. Duch to wódz wiódł ich i szedł do boju, zaciskał broń w ręku, pchał na nieprzyjaciół i zwyciężał... Takim nadludzkim wysiłkiem woli trzymał Hetman i statki swych wojsk w ordyn-

ku i wlewał cząstkę swej duszy bohaterskiej w bezduszne i bezwolne szeregi powłok ziemskich. I w ciągu całych tych dni pochodu, wśród krwi, ognia, dymu, hałasu, — wśród piekła — on to, wódz ten niezwycięzony, walczył naprawdę sam jeden z wrogiem, co wojska jego otaczał i z wrogiem, co na dnie serc złamanych ukryty, duch mroku, wyglądał chwili ostatniej zagłady nieszczęśników, wyrwanych z jego siodeł owej strasznej nocy „rozdzielenia serc“. Była to jakby bitwa ducha światła z duchem ciemności, toczona jednocześnie z bitwą na ziemi wśród tłumów ludzkich, gdzieś w przestworzu, niewidzialna.

Tak dzień i noc, z bronią w ręku, poprzedzany przez ogień pożarów, wznienych przez tatarów, wlokąc za sobą poranionych lub chorych towarzyszy, z sercem, wahającym się między zmorą przebytej paniki i wolą wodza, szedł nieszczęsny żołnierz wolnym krokiem przez piekło, rozciągające się na całą długość jego drogi.

Od Cecory aż do Dniestru droga ta, nie mająca naturalnych osłon i zewsząd otwarta, biegła kolejno przez piaszczyste i spalone równiny lub przez doliny o gruncie ciężkim i gliniastym. W tym trudnym pochodzie brak wody był dotkliwą klęską, bo strumienie w owej porze roku już powysychały, a nad większymi zbiornikami stał nieprzyjaciół i bronił dostępu. Konie nawet padały ze znużenia, palone pragnieniem, co było wielce niebezpiecznym, ponieważ w odwróceniu taborem, koń zaprzężony stanowił główną podstawę ruchomej twierdzy. To też marsz, odbywający się wśród nieustannej walki, nieraz bywał wstrzymywany dla stoczenia zaciętej potyczki a przejście przez rzekę Reut mogło się skutecznym po nowej krwawej bitwie, która już ostatecznie otworzyła drogę do Dniestru. Od Reutu, przez dopływ tej rzeki

Kobołtę, szedł tabor znacznie już słabiej napastowany przez nieprzyjaciela, odpędzając się jeno od tatarskich partyzantów.

Tak po siedmiu dobach piekielnego pochodu, po nocach walk prawie zwycięskich, co chwila przechodząc do ataku i zdobywając nawet buńczuki nieprzyjacielskie, po zwyciężeniu natury samej, na ów czas jakby sprzymierzonej z wrogami, doprowadził Hetman oddział niezachwiany, do miejsca ostatniej próby, ostatniego ważenia się losów.

Ale czar woli jednego człowieka nad wolą tłumu nie mógł trwać wiecznie, miał swój okres: chwilę, gdy pokonane trudności, złamane przeszkody zostaną daleko, gdzieś w dali przebytej, jak sen męczący, jak wizja krwawa. W owej chwili, cel jedyny, co łączył wodza i żołnierza, mógł być zastąpiony przez drugi, wodzowi obcy, dla żołnierza upragniony, a celem tym było najrychlejsze, bez względu na to wszystko dostanie się do ojczystych granic — do domu!

Przychodziła próba dla wodza najcięższa; aby z niej wyjść zwycięsko, — trzeba było cudu, bowiem przykład fatalny ucieczki połowy wojska był od dni wielu pokusą, dla tych cieniów ludzkich do zwalczania wprost niepodobną. Wszak to już nie rycerze, wślawieni w bojach, nie luminarze męstwa i fantazyi kawalerskich zbliżali się do granic ojczystych; z tych po owej nocy strasznej, mało kto już pozostał; to był żołnierz kwarciany lub kozak ukraiński, który, nim stanął oko w oko z pokusą, której tamci ulegli odrazu, musiał przebyć męki najstraszniejsze odwrotu i zostać marą żołnierską bez woli i bez siły.

A tymczasem, w miarę zbliżania się do granicy, słabły ataki hord nieprzyjacielskich, ustawały trapiące klęski głodu i niewczasu i wzmagaly się siły, krzepione nadzieją. Pozostawało jeno przeprawić się przez

rzekę wyroczną, a tak się wszystko składało, że przeprawa musiała być pomyslną.

A tymczasem, nad tą garstką zbrojnych, złamaną i wycieńczoną, unosiła się na skrzydłach nietopierza panika, nieodłączny towarzysz krwawej drogi hetmańskiej od Cecory aż do Dniestru.

Byстрыm okiem osiwiąłego w bojach wodza, patrzył wciąż hetman na tego upiora, oprócz niego niewidzialnego dla nikogo, i gotował się na śmierć...

Nadchodziła ostatnia noc próby i walki: noc z 6-go na 7-y października.

Więc, w dzień, który ją poprzedził, żegnał się Hetman z wierną towarzyszką życia i w ostatniem pożegnaniu z najbliższą mu istotą zamykał całą piękność swego serca.

„Tak było i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zginęła. Pan Bóg Wszechmocny dopuszcza utrapienia, by ciało w wojnach hartować, a umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec i nie koniec łaski Pana Boga świętej, która nas wszędy utrzymywała i nieprzyjaciółom tamę w bitwach stawiać rada była. Jakoż, kiedyśmy się zbierać radzi do utarczki z pohanem tego świtania, odebrałem pisanie W. Miłości, mojej sercem ukochanej i wieczyście milej małżonki, tegoż pociechę słówek kilku, a kto wie, może być, że i ostatnie pożegnanie. Jam pewien, że W. Miłość, ukochana i miła małżonka, czytając to moje pisanie, nie będzie żalić serca i sił mych, a chociażby i życia, dla obrony Rzeczypospolitej i chrześcijan. Toż ta pociecha będzie sercu memu...”

I dodaje:

„Tu w obozie mym, jakby jakowy rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło, by na własną zgu-

bę, i chcą koniecznie odchodzić od sprawy, że onych ledwo uhamować mogłem...”

I pociesza żonę:

„A chociażbym i poległ, to ja stary i na usługi Rzeczypospolitej już niezdatny...”

— — — — —
Dla tych dwojga usługa Ojczyźnie była miarą wartości życia ludzkiego...

VI.

Listem do żony zakończył się dla bohatera dzień ostatni na ziemi: wschodu słońca, co tego dnia zachodziło, nie sądzono mu było oglądać. Rozesłała się noc nad taborzem, nad wojskami, nad wodzem i nad losami Rzeczypospolitej.

Ów rokosz, co się za dnia zrywał, jak pomruk nadchodzącej burzy, nie wróżył nic dobrego. Dawała się odczuwać złowroga duszność niebezpiecznego nastroju, oddawna już trwającego i ukrytego w głębi wylękłych dusz. W takiej atmosferze mógł się zrodzić czyn, co unikał światła słonecznego i pod osłoną nocy szukał chwili spokojnej dla siebie... Panika, która się podniosła u Cecory, spadła nad Dniestrem na wymęczone i znękanе szeregi: nie były już one zdolne do walki z duchem zwątpienia i pokusy. Tłum, zamknięty w taborze, zmagający się z gwałtowną chęcią natychmiastowego przeprawienia się przez rzekę, ścigany przez marę przerażonej wyobraźni, w każdej chwili był zdolny wywołać katastrofę. Losy tej gromady ludzkiej, zbrojnej jeszcze, ale już nie wojennej zależały od przypadku: lada szmer, lada echo, lada powiew mógł się odbić w ich sercach hukiem piorunów i w jednej chwili spędzić cały ten tłum do otchłani.

I losy chciały, że właśnie taki przypadek zaszedł w chwili, gdy zdawało się, że już możliwość jego minęła. I stało się, że u progu Ojczyzny, niemal w chwili wyzwolenia, całe dzieło wodza, dokonane z takim bezmiarem poświęcenia, wytrwałości i męstwa — runęło w gruzy.

I zważmy, czy nie są to łzy czynów ludzkich, czy nie jest to śmiech potęgi mroków, gdy tentent cwałującego rumaka stanowi o losach narodu...

W nocy z 6 na 7 października, w taborze polskim, stojącym nad Dniestrem, o milę od Mohyłowa, tuż nad granicą rodzinnego kraju, rozpętała się w całej swej okropności panika, wśród ocalałej w tyłu niebezpieczeństwach i niemal zwycięskiej, bo w otwartym boju niezwyciężonej, resztki wojsk hetmańskich.

Do uszu obozujących żołnierzy dolatuje odgłos pędzącej od strony nieprzyjaciół jazdy... to nocny napad wroga, nieodparty i ostatni!.. I wszystko rzuca się do ucieczki. Powstaje zamęt, chaos i rozprzężenie. Znowu powtarzają się w całej ohydzie, czyjny owej pierwszej nocy w obozie nad Prutem, ale, na ten raz, żołnierz nie czeka przykładu z góry, ów — pierwszy — starczy raz na zawsze. I oto w jednej chwili, niezmierzony tabor, ta twierdza ruchoma, o którą, jak o skałę, rozbijały się ataki nieprzyjaciół — zerwany, zniszczony rękami tych, kto swoje ocalenie w nim znalazł. Na wyprężniętych koniach rozpoczyna się bez pamięci, w dzikim popłochu, szalona, bezmyślna ucieczka... I szala losów, co się tak długo wazyła spada na dół, jakby przywalona niezmiernym ciężarem, a ów ciężar — to puch, to pyłek, to nic prawie, — a jednak to wszystko.

Na szali losów zawążył przypadek, błahy sam w sobie, a olbrzymi w swych skutkach: było to echo, był to tentent cwałującego konia — polskiego, bo-

wiem nie jazda nieprzyjacielska, ale oddział zwycięskich Lisowczyków pędził, wracając ze szczęśliwej wycieczki...

I wojsko znikło...

Wraz z wojskiem ginęła ostatnia nadzieja przedłużenia walki na lewym brzegu Dniestru i doczekania się wreszcie posiłków, od tak dawna wyglądanych i tak potrzebnych do ukarania zuchwałego najeźdźcy.

Przy wodzu ostał się hufiec, liczący około trzysetu wojowników. Byli to prawie sami ludzie stanu rycerskiego, co nocy tej w krwawych falach Dniestru zmywali ze czci swojej brudną wodę Prutu.

Czujny nieprzyjaciół dostrzegł katastrofę i wpadł do rozgromionego i opuszczonego taboru.

Hetman tymczasem przygotowywał się do chwili uroczystej. Niezlomny rycerz chrześcijański, składał na ręce kapelana obozowego ostatni rachunek z czynów swych na ziemi, aby mógł godnie stanąć u Tronu Wodza Zastępów. Bo wszak nadchodziła dlań chwila „śmierci tak słodkiej dla wiary świętej, dla Ojczyzny“, bo oto już wiedział, że jest „tej łaski od Pana Boga godzien“. I ubierał w promienną szatę świętości swój duch, co się w chwili owej czynił nieśmiertelnym.

Hetman stanął na czele trzystu rycerzy i rozpoczął bój z nawałą nieprzyjacielską. Walka nie trwała długo: jedni legli na polu sławy, jak waleczny Denhof, drudzy — dostali się w ręce wroga, jak hetman polny Koniecpolski, dwaj Żółkiewscy, Korecki, Marcin Kazanowski, Farensbach i inni. Wśród ofiar tej ostatniej o cześć rycerską bitwy, wśród najwierniejszych towarzyszy wodza byli dwaj znaczni kozacy: Michał Chmielnicki z synem Bohdanem. Ojciec poległ, zasłaniając swą piersią Hetmana i dobroczyńcę

swego, — tak się odwdzięczał stary kozak za przychyłność doznaną, — syn dostał się do niewoli i poniósł ze sobą dwóch strasznych nocy — nad Prutem i nad Dniestrem; później się pokazało, że patrzył uważnie i nie zapominał...

Bój dobiegał do końca. Przy Hetmanie było już tylko jedenstu walczących. Zawsze na ich czele, z szablą w ręku, wódz szedł naprzód, torując sobie drogę przez nieprzyjacielskie szeregi. Wówczas owych jedenastu postanowiło zginąć dla ocalenia wodza i usiłowali skłonić go do ujęcia z pola. „Miło mi przy was umierać“, odpowiedział niemal wesoło bohater i szedł dalej, patrząc w oczy śmierci, z tą spokojną brawurą starego żołnierza, co długoletnią i obojętną sąsiadkę traktuje poufnie i nieco zlekka.

Wreszcie, prawie przemocą, wsadzono Hetmana na koń, w nadziei, że rącość rumaka uratuje to drogie życie... Wódz zniknął w ciemnościach i od tej chwili nikt go już żywym nie ujrzał, i nikt żywy nie mógł powiedzieć, jakim był jego koniec.

Na drugi dzień poznano jego zwłoki i one dopiero opowiedziały o tem, że stary rycerz skierował rumaka prosto na zastępy wrogów, bo liczne i ciężkie rany okrywały pierś jego; walczył więc Hetman z nieprzyjacielem oko w oko i o ocaleniu siebie nie myślał. Powiedziały dalej te zwłoki, że dłoń rycerska szabli z rąk nie wypuściła ani na chwilę jedną, że Hetman poddał się tylko Bogu i woli Jego świętej, bo miecz hetmański wraz z ręką, co go trzymała, padł na ziemię skrwawiony: zwłoki miały rękę prawą uciętą. Powiedziały wreszcie te zwłoki, że rycerz bez zmazy i bez zarzutu nie szukał życia i nie o życie, ale o śmierć walczył, trup bowiem był bez głowy, którą wróg dzi ki uciął, mszcząc się za opór krwawy i za doznane ciosy...

Tak poległ Stanisław Żółkiewski, Hetman i Kanclerz Koronny, mąż wielki, wojownik znakomity i najwierniejszy syn Ojczyzny milej...

I cóż zostało po nim? Proch i glina, skrwawiona lepianka ziemską, z której skrzydlaty gospodarz uleciał? Cóż zostało po nim, który „swym tułowiem do ojczyzny nieprzyjacielowi drogę zawałił“, po nim, który swe „myśli w sprawach Rzeczypospolitej utopił“ i „swe zwłoki styrał ku usłudze Rzeczypospolitej“?... — — — — —

Nic, jeno proch i glina i miejsce zgonu, przesiąknięte krwią ofiarną...

Toż przecie wszystko!

Toż nic droższego, nic większego, nic świętszego na ziemi nie może zostać po człowieku.

Bo ten proch i ta mogiła, gdzie on spoczywa, i miliony prochów i mogił, — toż żywe źródło życia narodu, siła narodu, duch narodu, — jego nieśmiertelność! Bo zważmy czem my jesteśmy bez tych prochów, bez tych grobów, bez tej przeszłości... Cieniem, co się gubi w przestrzeni, echem, co się rozplywa w nieskończoności! I tylko z tych grobów małych, mnogich i nieznanych, z tych grobów wielkich, świętych i promiennych, my, cienie marne, my, dźwięki puste, czerpiemy życie, siłę i kształt nasz narodowy. Ten węzeł tajemniczy, co łączy te prochy życiodajne i nas, co połączy prochy nasze z przyszłością — ten węzeł — to naród, to życie i przyszłość... Biada tylko tym, co wraz z popiołem składają do grobów nie ziarna życia, ale ziarna śmierci — czyny niesławne i żywot samolubny, bowiem tylko taki naród umiera, który w swych grobach iskry życia nie znalazł...

I dlatego ta ziemia, która nas nosi i którą Ojczyzną swą nazywamy, tylko wówczas jest naszą i jest Ojczyzną, gdy w jej łonie nasi umarli spoczywają,

którzy ją dla nas posiadli swym trudem, walką i ofiarą synowie tej ziemi — nie najbliżsi, nie jedyni. Im śmierć piękniejsza, im popiół grobowy świeższy, tem prawo ojczyste jest większe, mocniejsze i świętsze.

Ludzie, w narodzie naszym, którzy prawa tego ongi przestrzegali, stali się tem, co my dziś nazywamy „Stanem szlacheckim“.

I kto mówi, że „stan szlachecki“, ma być władcą ziemskim, lub nie być „stanem szlacheckim“, ten źle mówi i fałszywie świadczy, bowiem stan szlachecki ma być władcą wielkich zgonów i wielkich grobów, lub nie być stanem szlacheckim. Nie zjadacz chleba i nie ten co za ziemię złotem płaci, posiadał ją i stał się jej władcą, władcą jest ten, kto z ziemi tej czyni miejsce, na którym śmierć sama stwarza życie nowe. Inaczej panowanie nad ziemią jest cieniem cienia i dźwiękiem pustym...

I zaprawdę, wielkim twórcą życia był zgon Hetmana Żółkiewskiego, bo zgon ten sam przez się nie-skończenie piękny, był nadto koroną życia promiennego i cnoty najczystszej. I zaprawdę grób jego stał się na wieki jednym z najczystszych źródeł życia naszego narodu.

VII.

Piękność dzieł ludzkich jest najlepszą miarą ich użyteczności. I zgon Hetmana, ów czyn tak piękny, był zarazem czynem najwyższej doniosłości politycznej, był niemal zbawieniem na ów czas dla kraju. Nad trupem bohatera nieprzyjacieli się zatrzymał i stało się wedle słów wodza: zawałił on swoim ciałem nieprzyjacielowi drogę do Rzeczypospolitej. Tylko tatarskie zagony, jak strzępy odpędzonej chmury, przez krótką chwilę przelatowały nad okolicą nadgraniczną.

Hetman zasłonił Polskę przed burzą—dał znów swej ojczyźnie ów czas, tak marnowany, a tak drogi.

I na sejmie w listopadzie 1620 roku przed królem i stanami stawał duch Hetmana i przewagą swej nieśmiertelności zdobywał ofiarność i pobudzał serca wazkie do obrony zagrożonej ojczyzny. Po raz drugi zwracał Hetman królowi pieczęć kanclerską i buławę hetmańską, ale już zalane krwią jego własną i krwią tą wywyższone nad zawiść i pożydlwość. Gdy powinowały hetmański Tomasz Zamoyski składał przed tronem oznaki najwyższych w Rzeczypospolitej dostojństw, nikt się nie zdradził z chęcią objęcia świętej i krwawej spuścizny...

Tak wiódł Hetman swój naród przez Cecorę do Chocimia... Nad samolubstwem, obojętnością, zawiścią i warcholstwem odniósł zwycięstwo duch bohatera i jego serce miłujące.

Wśród gorączkowej czynności przygotowań wojennych, wśród święta odnowienia braterstwa wszystkich ziem Rzeczypospolitej, jednoczących się wobec niebezpieczeństwa, lały się ciche łzy wdowy hetmańskiej „sercem ukochanej i wieczyście miłej małżonki“.

Dla Reginy Żółkiewskiej pozostała mała i smutna część: obowiązek oddania ostatniej posługi krwawym szczątkom, rozrzuconym od Dniestru do Bosforu. Aby z rąk nieczystych otrzymać drogie popioły należało opłacić złotem czerwieńców niemal każdą kroplę krwi, którą wylał za Ojczyznę syn wierny w jej obronie. Ojczyzna dałaby to złoto, ale Ojczyzna była biedną i nie miała nic ani dla siebie, ani dla swych dzieci. I smutna wdowa hetmańska sama jedna spełniła przedśmiertne zlecenie tego, który stojąc u szczytu władzy i potęgi, w akcie ostatniej swej woli musiał wyznać żonie, że nie zdobył fortuny i oświadczył: „nie zostawiam ci włości i majątności wielkich, choć z krwawej wysługi miałem dochód niemały. Wszystkom obracał na służbę Rzeczypospolitej... ale mi tego nie żał“. I jej tego nie było żał, więc niezwykłym wysiłkiem swej niewieściej energii osiągnęła to, że wspólny grób okrył ich prochy.

Ciało wodza podjęto na polu bitwy, głowę zawieszoną u stropu pałacu sultańskiego, wykupiono na wagę złota w Carogrodzie i trup porąbany oddano grobom świątyni w Żółkwi tak, jak tego pragnął poległy bohater: „Co się tyczy pogrzebu ciała mego, przydaje się to i wielkim królom, że ciała ich

bez pogrzebu zostają... Jakożkolwiek Pan Bóg przejrzał, jeśli będzie sposób, niech będę pochowany w grobie ojcowskim, a bez pompy, bez owych koni, kirysów. Jednak, jeśli bym w potrzebie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech krwi dla Rzeczypospolitej, a to nie dla chluby żadnej, lecz dla pamiątki i pobudki drugich do cnoty trumna pokryta będzie szkarłatem, na znak wylania i nieszanowania się dla Ojczyzny“.

Tak, w swej ostatniej woli, Hetman przedłużył za grobem swój udział w pracy obywatelskiej, tak żył po śmierci, przypominając współrodakom ideał, któremu żywot swój poświęcił. Gdy już nie mógł czynem i słowem, to trumną swą, całunem i symbolem barw pogrzebowych wołał do nich: nieszanujcie się dla Ojczyzny! I oto mamy wzór doskonały rycerskości ducha, wzór idealny rycerza, który zgodnie z mistycznym kodeksem średniowiecza był w swej osobie i lwem i barankiem. Ów lew na polu bitwy nie rozgłos wojenny, nie chwałę, nie tryumfy swe wskazuje potomnym, ale wylanie krwi dla Ojczyzny i słodycz spełnionej ofiary.

I odbył się w Żółkwi niezwykle pogrzeb bez kirów i bez czarnej pompy, pogrzeb purpurowy, pełen jasnych blasków i powagi, — na pamiątkę ofiary i dla pobudki do cnoty. Okryta szkarłatem trumna, niesiona na barkach towarzyszków broni, świadczyła raczej o szczęściu niż o żałobie, świadczyła o zwycięstwie ducha, o tryumfie prawdy i poświęcenia.

Ale później, po napisaniu rozporządzenia i pogrzebie, Hetman się widać rozmyślił i uznał, że do serc współbraci jeszcze skromniej, jeszcze miłośniej należy z tamtej strony mogiły przemawiać. Więc umieścił w testamencie następujący dodatek: „A jeżeli bym w Wołoszech, albo gdzie zagranicą śmierć mi

Pan Bóg posłał, tamże pogrześć grzeszne ciało moje, a na tem miejscu wysoką mogiłę usypać. Nie dla ambicyi jakiej tak mieć chcę, ale żeby grób mój był kopcem granicznym, żeby wiek potomny, szanując pamięć moją, wzbudzał się do nowych prac i zasług“.

Snać Hetman czuł, że służba jego Ojczyźnie nie kończyła się śmiercią i że z poza mogiły nawet on, stróż ojczyzstego progu, miał czuwać na stanowisku. I szkoda, że grób jego nie jest tam, na brzegu Dniestru, wśród stepów mołdawskich, na tej krwawej równinie, co swym bezmiarem odpowiadała wielkości jego serca. Ale, że i łzy żony miały pono swoje prawo, więc zwłoki hetmańskie złożono w grobach ojców, w grobowcu z czerwonego marmuru. Na czarnej tablicy złoty napis kończył się temi słowy:

*Tibi Hostis ad terrorem
Tibi Hospes ad exemplum*).*

A na miejscu, gdzie poległ, żona usypała bohaterowi wysoką mogiłę, na mogile wzniosła słup kamienny z tablicą, na której te wyrazy w ciągu stu-
leci przechodzeń czytał:

Quam dulce et decorum sit pro patria mori, ex me disce.

„Jak słodko i pięknie za Ojczyznę umierać“...

Nieprawdaż jaki znany, jaki niemal banalny frazes? W szkołach jeszcze dziećmi będąc, uczyliśmy się tych wyrazów dla wprawy w języku Rzymian i ile to lat, i ilu to ludzi przed nami powtarzało i po nas powtórzy ten oklepany wiersz łaciński! A je-

*) Tobie wrogu dla postrachu
Tobie gościu dla przykładu.

dnak, na tym kamieniu mogilnym, na tym kopcu granicznym, na brzegu tej rzeki fatalnej, wiersz ów przestał być oklepanym i martwym. Zadrzało w nim życie, prawda, potęga i wspaniałość i stał się zeń „pacierz co płacze i piorun, co błyska“. Tak! Bo na tem miejscu treść jego jest prawdą rzetelną, czynem spełnionym, czynem wielkim, świętym i nieśmiertelnym.

Dziś napisy te istnieją tylko na kartach księgi starego dziejopisarza*) i w sercach tych, dla kogo pamięć bohatera jest drogą i świętą. Na pomniku stepowym oddawna już tablica nie istnieje, a na pomniku w świątyni w Żółkwi król Jan III, prawnuk Hetmana, kazał zetrzeć pierwotny napis, a natomiast wyryć te słowa:

*Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor**).*

Widać zapomniał wielki król o tem, że jego pradziad, bohater poświęcenia i miłości dla kraju, był zawsze obcym uczuciu zemsty i nienawiści, bo miłość jego dla Ojczyzny była tak czystą, że w niej, oprócz tego, co jest świętem i nieskalanem, na nic już miejsca nie było. I zapomniał prawnuk koronowany, że jego pradziad wielki, miał od Boga dany dar zjednywania serc tych, kogo orężem swym zwyciężył, że w jego przewagach wojennych, po tryumfie siły, szedł w ślad tryumf serca i braterstwa — i na dalekiej północy i nad brzegiem Dniepru i wszędzie. Bo zwyciężeni śnać czuli, że serce, tak miłujące Boga i Ojczyznę, dla nikogo z ludu złem być nie mogło.

My naszych bohaterów nie pieścimy. Nieliczni są ci z nich, których pamięć uczciliśmy wzniesionym

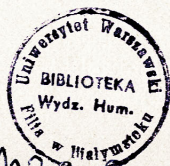
*) Starowolski. Monumenta Sarmatorum.

**) Z naszych kości kiedyś mściciel powstanie.

pomnikiem. Wielki Hetman od narodu swego nie otrzymał ani spizów, ani marmurów, a z grobowców, które wzniosła kochająca dłoń towarzyszek życia, jeden w Żółkwi, wraz z kościołem i zamkiem jest w zaniebaniu, a drugi, nad brzegiem Dniestru, po trzechsetletniej walce z ruiną czasu i niepamięcią współbraci, obecnie, na oczach naszych zwałił się w gruzy. Obyśmy się przynajmniej zdobyli na to, aby zachować od zagłady dowód serdecznej pamięci żony, która nad grobem bohatera-męża skromne te pomniki wzniosła. A gdy nas nie stać na brzozy i na marmury, to może doczekamy się chwili, gdy jeden z tych, co strzegą pamiątek narodowego kościoła uwieczniają je piórem, uczci pomnikiem trwałszym od miedzi nieśmiertelną pamięć wielkiego człowieka i ten żywot wielki, tę śmierć „tak słodką” na kartach naszych dziejów uwieczni.

A my pamiętajmy! Pamiętajmy o tej miłości Ojczyzny czystej, jak łza dziecka, twardej, jak brylant, i nieskończonej, jak wieczność, o tej miłości Ojczyzny, co była uczuciem świętem, czyli uczuciem obcem nienawiści, obcem zawiści, obcem zemście. I pamiętajmy o spełnionej ofierze, o grobie z którego bije źródło życia, o cierpieniu — co jest chwilą, o prawdzie — co jest wiecznością...

„Tegoż utrapienia nie koniec i nie koniec łaski Pana Boga świętej“...



M7808